Rok II. Styczeń 1930. Nr. 1.

LEGJON



WYDAWCA: ZARZĄD ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POL. W KRAKOWIE.
Cena pojedynczego numeru 1 zł. Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.





Rok II. Styczeń 1930. Nr. 1.

LEGJON

CZASOPISMO ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH W KRAKOWIE

Oto czasy powołania,
czas czynu, czas działania,
czasy ludów zbratania,
czas bratnich dusz Zmartwychwstania!
(„Legjon" St. Wyspiańskiego, sc VI).

PP. Szanownym Prenumeratorom, Czytelnikom i wszystkim Przyjaciołom naszego pisma, dzięki poparciu których numerem niniejszym rozpoczynamy drugi rok istnienia — składamy serdeczne życzenia

Wesołych Świąt! i Szczęśliwego Nowego Roku!

„Legjon"

Czy jesteśmy faszystami?

Faszyzm w Italji a „faszyzm" w Polsce.

Nasze strachajła opozycyjne z lewego skrzydła wyżebrały memorjał gratulacyjny u zagranicznych autorytetów II. Międzynarodówki, przeciwko „faszystowskiemu" reżimowi, który panuje podobno w Polsce, czyhając z dnia na dzień na cnotę niewinnej i czystej jak kryształ demokracji.

To wielkopomne posłanie do zachrypniętej naszej opozycji, przeszło bez echa po Polsce, gdyż słowo „faszyzm" zastosowane do Polski, może tylko wywołać uśmiech politowania pod adresem tych, którzy byli inspiratorami wspomnianego memorjału.

Słowa niezrozumiałe mają naturalnie swoją magiczną moc, która wwierca się w bezkrytyczne mózgi, wywołując często różne dziwolągi lub nowe pojęcia o nowem zabarwieniu. Wartość semantyczna słów zmienia się zależnie od miejsca i zależnie od głowy, o którą się dany twór mowy ludzkiej obije. Któżby się nad tem zastanawiał, że słowo „kretyn" („cretin") ma ten sam pierwiastek, co słowo „chretien", że francuska nazwa Polaka „Polonais" oznacza często w domach rozrywkowych zawalidrogę i apasza, że słowo „szlachcic" stało się pogardliwem i zostało zastąpione przez wytwornego „ziemianina", że słowo „czerwony", głoszone z emfazją przez jednych, wywołuje dzisiaj uśmiech u innych, mających może bardzo zbliżone przekonania polityczne, że słowa „suweren" i „sufragan" znaczą coś nawet gorszego jak „poseł", że wreszcie słowo „faszyzm", powtarzane dzisiaj tysiąc razy dziennie z tygrysim wyrazem twarzy przez przeciwników politycznego ustroju Italji, jest często przez ogół niezrozumiałe i że z tego powodu bywa często straszakiem, jakąś potworną maszyną allegoryczną w rodzaju madejowego łoża do straszenia spokojnych obywateli, których kontakt z prasą nie wiele się różni od kontaktu ze słuchawką aparatu radjowego.

Otrzymawszy tę nazwę, czy też przezwisko z wielką dozą pogardy, jesteśmy zmuszeni poszukać treści, której ten wyraz jest symbolem.

* *

Ruch faszystowski nie jest jakimś „zorganizowanym gwałtem", jak to opowiadają „burzącemu się ludowi", „ideolodzy" więdniącego w demokratycznych spazmach i potach socjalizmu z pod znaku C. K. W.

Faszyzm włoski jest zjawiskiem ewolucyjnie wytłumaczonem i faktem społecznym o dużej rozpiętości. Najwięcej bezsilnych przekleństw miotają w jego stronę posiwiali menerzy socjalizmu, idący na smyczy II. Międzynarodówki, bo wszedł on i zakwitnął na terenach, nawodnionych ich własną doktrynerską papką, bo za jednym zamachem wytrącił im broń z ręki według rewolucyjnych przepisów, zadekretowanych przez międzynarodówkę, i poszedł naprzód twardym krokiem w pełni sił żywotnych. Faszyzm zrobił w krótkim czasie to wszystko, o czem marzył dziesiątkami lat socjalizm; zrobił to według przepisów socjalistycznego regulaminu, t. j. rewolucją, którą socjaliści uważali i uważają stale obok Kas Chorych za swój wyłączny monopol.

Występując do walki, miał przed sobą cel jasny, t. j. odbudowę państwa narodowego; cel ten osiągnął szybko i stał się zwycięskim. Tymczasem socjalizm podryguje sobie w miejscu, bo jego drogi nie prowadzą do żadnego celu, a doktrynerskie hasło niszczenia państwa, głoszone przez pewne odłamy socjalizmu, nie może być celem dla mas.

Twórca faszyzmu włoskiego Benito Mussolini (ur. 1883), syn wiejskiego kowala, niedoszły pedagog, a wreszcie zwyczajny robociarz, wystąpił na arenę polityczną jako skrajny socjalista i wybitny dziennikarz. Już w r. 1912 zwrócił na siebie ogólną uwagę na zjeździe socjalistów w Reggio-Emilia, jako przywódca lewego skrzydła partji. Niedługo potem został powołany na stanowisko naczelnego redaktora „Avanti", centralnego organu stronnictwa. *).

*) Bibljografja: Fascismo La sua storia — La sua dottrina — La sua organizzazione di L. Freddi Firenze. — Mario Franchini La Disciplina del lavoro Quaderni fascisti Quaderno XIV Firenze. — Prof. Giovanni Lorica L'organizzazione umana del lavoro. Firenze. — Don Luigi Sturzo L'Italie et le Fascisme Paris Felix Alcan 1927. — Maurice Bedel Fascisme An VII. Paris Librairie Gallimard. — Ryszard Winter „Duce" w świetle faktów Paryż — Warszawa 1929 i t. d.

Po wybuchu wojny, Mussolini stał się gorącym zwolennikiem akcji interwencyjnej, domagającej się wypowiedzenia wojny Niemcom i Austrji. Na tem tle doszło do ostrego konfliktu z socjalistami germanofilskimi, którzy byli przeciwnikami interwencji. Mussolini ustąpił ze stanowiska redaktora „Avanti", założył własne pismo „Popolo d'Italia" i zaatakował ostro przywódców socjalizmu włoskiego. Po wyrzuceniu z partji rozpoczął walkę z „kretynizmem parlamentarnym", oświadczając, że użyje wszystkich sił, ażeby wyzwolić proletarjat z pod wpływu fałszywych pasterzy.

Powstały wtedy „Fasci d'Azione Interventista" (Związki Akcji Interwencyjnej), wśród których Mussolini rozwinął gwałtowną propagandę, celem zmuszenia rządu włoskiego do wzięcia udziału w wojnie europejskiej. W maju 1915 r. „Związki" i socjaliści Mussoliniego poszli na barykady, ażeby przyśpieszyć wypowiedzenie wojny. Mussolini zaciągnął się wtedy do wojska i ruszył na front, jako kapral bersaljerów. Po dwu latach służby frontowej odjechał do szpitala, jako ciężko ranny. Nie powrócił już więcej na front, gdyż po powrocie do zdrowia objął w Medjolanie redakcję swego pisma „Popolo dItalia".

W okresie powojennym Italja była w stanie ustawicznego wrzenia. Raz po razu wybuchały krwawe rozruchy na podłożu socjalnem. Poczucie posłuchu dla rządu i władz znikło prawie zupełnie; nacjonalizm, socjalizm i komunizm hulały na własną rękę. Komuniści opanowali w triumfie większość miast. Cała Italja rozbrzmiewała okrzykami: „Niech żyje Lenin!". W 1919 r. funkcjonowały w Italji autentyczne sowiety, które miały do swej dyspozycji uzbrojone „czerwone gwardje", nakładały pogłówne, wywierały presję na władze państwowe, teroryzowały robotnika i wszystkich obywateli.

Dnia 23 marca 1919 r. Mussolini zarządził zbiórkę faszystów, celem rozpoczęcia ruchu rewolucyjnego, i wystąpił z programem politycznym, w którym starał się przelicytować socjalistów. W tym celu głosił hasła nadzwyczaj radykalne: konstytuanta narodowa, proklamowanie republiki, zniesienie senatu, obowiązkowej służby wojskowej i tytułów, obalenie policji politycznej, usunięcie banków i giełd, oddanie ziemi chłopom, wolność myśli, religji i prasy, reorganizacja szkolnictwa, rozwiązanie towarzystw spekulacyjnych, reorganizacja produkcji, ośmiogodzinny dzień pracy, jawna polityka międzynarodowa, konfiskata majątków nieproduktywnych, tępienie pasożytów społecznych i t. d. i t. d.

Od samego początku faszyzm był ruchem rewolucyjnym przeciwko zgniłej i nieudolnej polityce wewnętrznej. Opierając się na dawnych zwolennikach „Akcji Interwencyjnej" i na związkach b. żołnierzy „Fasci di Combattimento", był początkujący faszyzm dzieckiem wojny.

Owe „Fasci di Combattimento", składające się w dużej mierze z b. żołnierzy bezrobotnych, którzy powrócili z wojny, stały się zawiązkiem ruchu rewolucyjnego i nowego ustroju. Na łamach „Popolo d'Italia", Mussolini apelował do związków b. żołnierzy:

„Fasci di Combattimento" mają charakter rewolucyjny, gdyż to my zapoczątkowaliśmy ruch w onych dniach majowych, który był w całej pełni i do tego stopnia rewolucyjnym, że obalił stan hańby nawewnątrz i zadecydował o losach wojny światowej.

„My chcemy podniesienia moralnego i materjalnego obywateli włoskich (nietylko tych, którzy się mienią proletarjuszami) i wielkości naszego narodu w świecie.

„My musimy wyjść naprzeciw pracy, która powraca z okopów; gdyż byłoby ohydnie i po bolszewicku, nie uznawać tego, który brał udział w wojnie. Uznajemy postulaty klas pracujących. Stajemy na terenie syndykalizmu narodowego...



KRZYŻANOWSKI STANISŁAW, prezes Stowarzyszenia Powstańców 1863 w Krakowie, ur. w roku 1849, 4. II., w Krakowie. Służył pod d-twem Horodyńskiego i brał udział w walkach pod Radzisławem na Wołyniu (1. VII. 1863). — Potem należał do Straży Narodowej w Krakowie. W 1864 roku służył pod d-twem pułk. Rębajły (Kalita Karol, oficer, który zdezertorował z armji austr. i poszedł do Powstania). Brał udział w walkach pod Opatowem, pod Witosławską Górą, Koprzywnicą i Kurozwękami, skąd odszedł do szpitala w Krakowie.

„Wobec możliwości nastania nowego ustroju, powinniśmy się stać wojowniczymi. Dlatego tworzymy związki, jako organy twórcze i agitacyjne, zdolne stanąć na placu publicznym i krzyczeć: Jesteśmy tymi, którzy dążyli do zmiany, gdyż byliśmy tymi, którzy odepchnęli pokój na rzecz wojny i poprowadzili ją do zwycięstwa".

Wśród tej przygrywki dochodzi do pierwszych starć. Bojówki faszystowskie szykują się do walki z komunistami i socjalistami. W kwietniu 1919 r. został ogłoszony strejk generalny, jako protest przeciwko zakazowi urządzenia manifestacji na cześć Lenina. Kiedy ulicami Medjolanu przeciągała czerwona kolumna, licząca 10 tysięcy uzbrojonych, kilka dziesiątek faszystów zastąpiło jej drogę i rozpędziło ją całkowicie. W tym samym dniu została zdemolowana redakcja „Avanti" przez tłumy, prowadzone przez faszystów.

W ten sposób rozpoczęła się dwuletnia walka z „czerwonymi", w czasie której Mussolini rozwijał i przekształcał swój program polityczny.

— „Fasci di Cambattimento" — mówił w maju 1920 r. — nie chcą być w obecnym okresie historycznym nową partją, ponieważ nie czują się związanemi z żadną specyficzną formułą doktrynerską, ani z żadnym tradycyjnym dogmatem...

„ „Fasci di Cambattimento" wyrażają pogardę ludziom i organizmom polityki mieszczańskiej...

Socjalistyczny program Mussoliniego zyskuje szybko w walce z „czerwonymi" kierunek narodowy.

Było to bezpośredniem następstwem wojny, która wykazała bezskuteczność międzynarodowej solidarności. Tak więc Mussolini zawrócił z terenu międzynarodowego w stronę ojczyzny i stanął do walki z szacherkami parlamentu i z egoizmem stronnictw. Uświadomił wszystkim, że pierwszym warunkiem wolności jest obowiązek i stał się odnowicielem godności państwa narodowego.

W październiku 1922 r. hufce faszystowskie ruszyły na Rzym w sile 30 tysięcy Czarnych koszul i przedefilowały ulicami stolicy. Król stanął po stronie Mussoliniego i zamianował go premjerem.

Nowy premjer stanął przed parlamentem i senatem 15 listopada 1922 r. — 400 posłów, przeciwników faszyzmu, wysłuchało bez odruchu protestu złośliwej i zaczepnej mowy premjera. Tylko socjaliści, liczący 154 posłów (na 525) głosowali przeciw nowemu rządowi.

Italja otrzymała za jednym zamachem nowy ustrój, narzucony narodowi przez partję zwycięską, której program, jak twierdzą Włosi, był dyktowany logiką życia i rzeczywistości.

Nowy rząd Italji przystąpił od samego początku do systematycznej likwidacji swoich przeciwników. Hufce faszystowskie, które okazywały wszędzie wyższość nad bojówkami „czerwonych", zostały zamienione na ochotniczą milicję. Syndykaty i stowarzyszenia robotnicze, opanowane przez czerwonych prowodyrów, zostały rozwiązane, a wolność stowarzyszeń zniesiona. Opozycjoniści zostali uznani za wrogów Italji.

Wybory do parlamentu włoskiego, przeprowadzone w kwietniu 1924 r., dały faszystom 70% mandatów, zostało wybranych 375 posłów faszystowskich, podczas, gdy opozycja otrzymała tylko 160 mandatów (w tem socjaliści: 43, komuniści: 19, ludowcy: 40).

Walka o władzę była krwawą; padło w niej około 3 tysiące „Czarnych koszul". Jednak ohydne morderstwa, dokonywane przez indywidua faszystowskie na godnych ogólnoludzkiego szacunku przywódcach opozycji, pozostaną na zawsze hańbiącą kartą w dziejach faszyzmu włoskiego. W sposób bestjalski zgładzono ze świata posłów socjalistycznych: Jakóba Matteottiego, Jana Amendolę, Pilatiego i w. i. Poza tem wielu przywódców opozycji żyje dzisiaj poza granicami swojej ojczyzny.

Jako znak protestu przeciwko temu bezprawiu, były 3 zamachy, dokonane na Mussolinim w r. 1926 (7. IV. Irlandka Violet Gibson — 11. IX. Gino Lucetti, robotnik włoski, przybyły z Francji — 31. X. Anteo Zamboni). Zamachy te świadczą jedynie o słabości opozycji; były one dokonane samorzutnie przez jednostki nienormalne, pod wpływem psychozy, panującej wśród przeciwników faszyzmu.

Nowy parlament włoski był kierowany całkowicie przez większość faszystowską. W czerwcu 1924 r., po zabiciu Matteottiego, opozycja rozpoczęła bojkot parlamentu faszystowskiego i poszła na Awentyn, gdzie jej szefem został poseł socjalistyczny Jan Amendola. W Izbie pozostali tylko faszyści, komuniści i część liberałów. W październiku 1926 r. parlament na żądanie Mussoliniego pozbawił opozycję mandatów. Potem nastąpiła nowa fala represyj, następstwem których było rozpadnięcie się organizacyj opozycyjnych i zupełne bankructwo jej prasy.

Temi drogami przyszło do utworzenia państwa faszystowskiego.

Włosi twierdzą, że Italja znalazła w Faszyźmie pełną świadomość siebie i swego przeznaczenia, że ruch faszystowski stał się duszą i ciałem ojczyzny („anima e carna della Patria") i że Italja weszła w okres nowego życia, opartego na równowadze, dyscyplinie i obowiązku.

Państwo faszystowskie jest wielką, jedyną Rodziną Włoską (unica Famiglia Italiana), która odczuwa jednakowo obowiązki i dumę pracy; jest organizmem społecznym, opartym na posłuszeństwie poddanych, którzy są karnymi wykonawcami rozkazów.

„Nie jest sztywnem stowarzyszeniem typu pruskiego bataljonu, pozbawionem uczucia, pochłoniętem w ślepej i nieprzytomnej uległości dla stopni, gdzie

wszystko jest galonem, a w niczem niema duszy, lecz jest ono powrotem — z doświadczeniem socjalnem stuleci — do pierwotnego systemu rodziny".

Mussolini stawia faszyzmowi za wzór starożytny Rzym i daje mu za godło pęki rózg liktorskich i głosi hasła imperjalistyczne. .

„Przeznaczeniem Rzymu jest stać się kierowniczem miastem cywilizacji Europy zachodniej" — to są własne słowa Mussoliniego.

Ruch faszystowski obejmuje instytucje kulturalne i organizacje społeczne. Na jego czele stoi „Wielka Rada Faszyzmu", w skład której wchodzą ministrowie, podsekretarze stanu, główni komendanci milicji, kilku sekretarzy generalnych, prezes grupy parlamentarnej faszystowskiej i inni. Wielkiej Radzie przewodniczy „Duce" i szef rządu Benito Mussolini.

Organizacja społeczeństwa włoskiego opiera się na systemie korporacyj i syndykatów. — „Syndykat jest drugą rodziną robotnika". — powiada Mario Franchini.

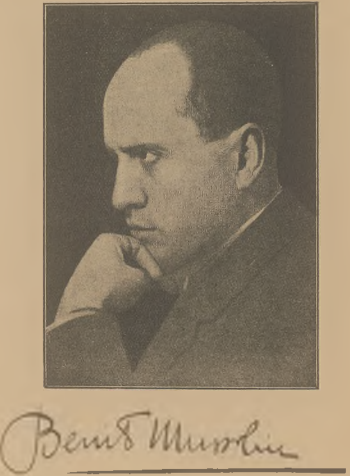
„Syndykalizm socjalistyczny (klasowy) stawia klasę ponad narodem; syndykalizm faszystowski jest czynnikiem koordynacji, równowagi i dyscypliny w stosunku do interesów produkcji narodowej.

„Syndykalizm socjalistyczny jest szeregowaniem sił do „walki klasowej"; syndykalizm faszystowski godzi sprzeczności dla współpracy klas, na której opiera się dobro najwyższe całego narodu".

Korporacje w liczbie 14 tworzą „Confederazione del lavoro", której podlegają wszystkie gałęzie przemysłu i pracy w kraju.

Podporą państwa faszystowskiego są organizacje o charakterze przysposobienia wojskowego: a) małoletni faszyści poniżej 12 lat należą do „Balilla"; b) młodzież od 12 do 18 lat tworzy „Avanguardia"; c) faszyści ponad 18 lat tworzą milicję.

Historja milicji jest w dużej mierze historją samego faszyzmu. Jej organizacja jest oparta na wzorach rzymskich. 300 tysięcy „Czarnych koszul" tworzy stokilkadziesiąt legjonów, które dzielą się na kohorty i centurje. Uzbrojenie milicji jest pierwszorzędne: karabinki, rewolwery, karabiny maszynowe, armaty, samochody pancerne i balony z olejem rycynusowym. Na umundurowanie składa się czarna koszula z krawatem i czarna czapka z chwościkiem, a w zimie kurtka szarozielona.



Pod bronią jest tylko kilkadziesiąt tysięcy; reszta stawia się w koszarach w razie mobilizacji w pełnym rynsztunku.

„Dzięki milicji Italja faszystowska, zauważa dowcipnie p. M. Bedel, jest zawsze na rozkazy Mussoliniego, jak drużyna football'owa na rozkazy swego kapitana". Ponadto Mussolini umie panować nad sytuacją, jest doskonałym mówcą, schlebia tłumowi, gra na jego uczuciach i głosi hasła rewolucyjne o dużem zabarwieniu narodowem. W pracowni jego niema żadnych papierów, żadnych aktów — nie pisze — tylko mówi i rozkazuje — a ma doskonałych wykonawców w młodzieży faszystowskiej. Idee rewolucji francu-

skiej nazywa „zgniłą starzyzną". — „Zawsze szedłem po zgniłym trupie Wolności i będę go jeszcze deptał".

„Kobiety winny siedzieć w domu i wydawać dzieci na świat". — W jego programie niema miejsca na mizdrzenia miłosne. Pary miłosne są wszędzie przepędzane brutalnie przez Czarne koszule. Będąc antyfeministą, Mussolini dodaje: „Nie jest ten męczyzną, kto nie jest ojcem". Zato małe dziewczęta defilują przed grobem Nieznanego Żołnierza, a po mieście nie włóczą się żebracy, tylko w pociągach czarna milicja depta po nogach. Wszędzie tętni życie, wszędzie panuje milcząca aktywność.

„Faszyzm wnosi styl do życia narodu". — powiada zadowolony z tego Mussolini.

Po tym rzucie oka na historję włoskiego faszyzmu, można sobie łatwo dośpiewać historję polskiego „faszyzmu", o ile się nie ma nieprawidłowych zrostów w ośrodkach mózgowych lub frazeologicznego pypcia na języku.

Bezsprzecznie istnieje pewna frapująca analogja między drogami, po których szły w okresie powojennym Italja i Polska do usprawnienia swej maszyny państwowej, oblepionej haniebnie gnojem anarchizmu. Tu i tam wystąpiły na widownię siły, będące wyrazem zdrowych tendencyj, drzemiących w narodzie, celem przeciwstawienia barbarzyńskiej agitacji opętańców komunistycznych. Z tego powodu faszyzm włoski i reżim, zaprowadzony w Polsce przez Marszałka Piłsudskiego, to nietylko potykanie się z mniej lub więcej wrzaskliwą i histeryczną opozycją, to walka dwu idei biegunowo przeciwnych, to walka idei państwa narodowego z ideą państwa komunistycznego, wykwitającego zawsze na podłożu anarchji. Z tego powodu nad Europą zawisł problem ciężki do rozwiązania, bo walka takich idei nie może się skończyć kompromisem, gdyż jedna idea musi zwyciężyć, a druga musi być zniszczona w sposób bezwzględny.

W Polsce i Italji doszło na tem podłożu do emanacji silnej władzy państwowo-narodowej.

Naród włoski, mający w swej krwi poczucie dyscypliny i karności, urzeczywistnił w sposób iście rzymski, swoje aspiracje państwowe. Mussolini okazał się trzeźwym i radykalnym pedagogiem, ujął za rózgę, jak przystało na nauczyciela i kilku pociągnięciami postawił wszystko na swojem miejscu. Rozpędził kliki kretynów, żerujących na ciele ojczyzny i handlujące trudem klas pracujących. Rozkazał Italji pracującej ustawić się w czwórki frontem do ojczystego gniazda i budować swoją ostoję w organizacjach jednolitych, w kooperatywach i syndykatach, do których warcholstwo polityczne, denerwujące człowieka pracy, nie może mieć dostępu.

Naród polski pod względem poczucia karności i dyscypliny, cechującej narody romańskie, niema takiej tradycji. Kiedy przed wiekami przodkowie dzisiejszej Italji byli panami świata, to nasi przodkowie chodzili kupami i podobno w czasie bitwy wiązali się powrozami, ażeby ustać na miejscu.

Marszałek Piłsudski postanowił być przedewszystkiem wychowawcą swego narodu. Jego metoda pedagogiczna jest o wiele wyższa od nauczycielskiej rózgi Mussoliniego. Twórca Polski Niepodległej daje narodowi polskiemu kursa myślenia państwowego metodą uniwersytecką, uczy go myśleć samodzielnie i globalnie, trzyma go stale w napięciu wobec nowych zjawisk i nawołuje do częstych rachunków sumienia.

Przyszłość pokaże, która z tych metod była skuteczniejszą.

Z tego wynika, że Marszałek Piłsudski nie jest ani Mussolinim, ani faszystą, tylko Wielkim Człowiekiem obecnej chwili i „Komendantem" swego narodu, który ukochał całą duszą, do którego się jednak nie mizdrzy, jak patrjoci n. p. typu Liebermannów i Trąmpczyńskich, bo to mu nie wypada.

A teraz, czy obóz Marszałka Piłsudskiego jest faszystowskim?

Rola Legjonów w historji Polski Niepodległej była bez porównania większą, aniżeli rola Związków akcji interwencyjnej w dziejach Italji, które tam powstały w jesieni 1914 r. A jednak w Italji ludzie tego obozu postanowili ująć w ręce w pewnej chwili losy swej ojczyzny.

Punktem wyjścia dla organizacyj faszystowskich były w Italji związki b. żołnierzy, składające się po największej części z bezrobotnych kombatantów wojny światowej.

Do tych żołnierzy przemówił Mussolini doniosłym głosem w chwili krytycznej i wezwał ich, ażeby stanęli po raz wtóry do walki o wielkość ojczyzny.

Głos jego został wysłuchany.

W Polsce Związki b. żołnierzy istnieją już od r. 1920, stale się rozwijają i mają dużo bezrobotnych.

A jednak Wódz nie przemówił do nich na sposób Mussoliniego, ani razu. Nie uczynił tego, bo idzie Mu o szczęście całego narodu, a nietylko o szczęście kilkuset tysięcy towarzyszów broni.

Obóz Marszałka Piłsudskiego faszystowskim nie jest i nie chce być faszystowskim. Gdyby jednak Polska znalazła się w niebezpieczeństwie, to wtedy głos Wodza zostanie w lot usłuchany...



Fot. St. Kwia.

Weterani powstańcy z 1863/64 r.
w Schronisku w Krakowie.

GIERZYMSKI ARTUR: syn emigranta 1831 r.; ur. w Ajaccio (Korsyka) w r. 1847. Służył pod dowództwem Miniewskiego i Grehowicza. Walczył pod Panasówką i pod Batorzem.

BENTKOWSKI WALENTY: ur. 1845 r. w Chrzanowie (Małopolska). Służył pod dowództwem Belińskiego, Szałasa i Rębajły. Walczył pod Oksą, w Lasach Wierzbińskich, pod Pińczowem, na Szklannych Hutach, w Opatowskich Lasach (gdzie wielu powstańców zostało wziętych do niewoli), pod Sandomierzem (ostatnia walka), gdzie powstańcy zostali rozbici. Do niewoli został wzięty pod Wodzisławem, skąd etapami wraz z transportem 300 powstańców był odesłany do Warszawy. Osadzono go w Cytadeli, gdzie z ogólnego stanu wydzielono 12 powstańców — tych, którzy walczyli pod d-twem Rębajły i ich zamknięto w lochach, zaś po dwu miesiącach śledztwa odstawiono ich do granicy austrjackiej.

HUMOWIECKI KAROL: ur. 1835 r. w Szczekocinach, gub. Kielecka. Walczył pod d-twem Kielińskiego i Lelewela, na Kątach, Przedburzu i pod Olszą.

NAJEWSKI LEON: ur. r. 1844 w Bunkowie, powiat Mławski, walczył pod d-twem Strzeleckiego w Chromokowie i Dziwach.

NOWAK JÓZEF: ur. w r. 1843 w Bukowiu, powiat Łódź. — Służył pod d-twem Kinela, walczył w Długotowie pod Łodzią, tam został wzięty do niewoli, ranny śrutem i piką w lewą rękę i w czoło. Został zesłany na Sybir, gdzie spędził 48 lat.

NOŻYCZKOWSKI MAKSYMILJAN: ur. w r. 1837 we Włocławku. Służył pod d-twem Oborskiego i Taczanowskiego, walczył pod Ignacewem, oraz pod Gopłem, gdzie został ranny w głowę.

PARAFIŃSKI JAN: ur. w r. 1842 w Białej Podlaskiej. Służył pod d-twem Bagińskiego i Siemowskiego. Walczył w Sycynie, Łamazach i Siemiaczycach nad Bugiem.

PAWŁOWSKI TOMASZ: ur. w r. 1842 w Niegoszowicach. Służył pod d-twem Podwiejskiego, Klimkiewicza i Waligórskiego. Walczył w Szklarach i pod Wiereną, gdzie był ranny.

Poseł BOLESŁAW POCHMARSKI.

Historyczny rozwój

Krakowskiego Okręgu Związku Legjonistow Polsk.

Przemówienie na Walnym Zjeździe Delegatów Okr. Związku Legjonistów Polskich w Krakowie dnia 15 grudnia 1929 r.

Przystępując do złożenia sprawozdania prezesa Okręgowego Zarządu i całego Okręgu za rok ubiegły (od 15 lutego 1929 r. do 15 grudnia 1929 r.), pragnę najpierw nawiązać do naszej przeszłości organizacyjnej. Raz dlatego, że przy każdym rachunku, im dalej wstecz cofamy się wzrokiem, tem lepszą jest ocena teraźniejszości, powtóre zaś w tej przeszłości z lat dawniejszych tkwi także poważna część pracy członków ustępującego dzisiaj Zarządu, których większość pracuje w Zarządzie już szereg lat, niektórzy niemal od pierwszej chwili istnienia Związku w Krakowie. Ja sam, zasiadając w Zarządzie krakowskiego Związku nieprzerwanie już od roku 1921, mam w tej chwili za sobą 3-lecie prezesury i tem bardziej, gdy dzisiaj nieodwołalnie ustępuję z kierowniczego stanowiska, czuję się zobowiązanym do złożenia sprawozdania ogólniejszego, wiążącego nasze prace z roku ostatniego z wysiłkami wszakże tych samych niemal ludzi z lat ubiegłych.

Wspomnieć zatem godzi się, że rozwijającemu się dzisiaj coraz pomyślniej Związkowi Legjonistów, siecią licznych Oddziałów obejmującemu już całą Polskę, początek dał właśnie Kraków. Najżywiej tutaj odczuwana tradycja czynu 6 sierpnia, oparcie mająca o gromadzących się tutaj najliczniej b. żołnierzy legjonowych, a związana z wielkiemi historycznemi tradycjami podwawelskiego grodu, w Krakowie właśnie dała początek pierwszemu organizowaniu się b. legjonistów. Już zatem z początkiem roku 1918, więc jeszcze za czasów zaborczych, w związku ze znacznym napływem do Krakowa żołnierzy legjonowych, w następstwie ówczesnych znanych kryzysów legjonowych, powstaje w Krakowie „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy b. uczestników walk Legjonów Polskich". Komitet założycieli tworzyli: dr. Emil Bobrowski, jako przewodniczący, któremu jako drogiemu naszemu Towarzyszowi Broni i pierwszemu inicjatorowi naszej organizacji na tem miejscu cześć i podziękowanie składam, dalej ob. Jędrzej Moraczewski, Stefan Podworski, Kazimierz Stachlewski i ś. p. Kazimierz Wójcicki, jako członkowie. Po odpowiedniem przygotowaniu prac organizacyjnych, odbyło się w Krakowie, dnia 30 maja 1918 zgromadzenie członków założycieli, które wybrało Zarząd w następującym składzie: ob. Edward Rydz Śmigły, jako przewodniczący, ob. Józef Kustroń, jako zastępca, ob. Stefan Podworski, jako sekretarz, oraz członkowie: dr. Emil Bobrowski, Leon Czechowski, Adam Dobrodzicki, Kazimierz Hozer, Jędrzej Moraczewski, Witold Sokołowski, Kazimierz Stachlewski, ś. p. Kazimierz Wójcicki i Wilhelm Wyrwiński. Przewodniczącym Rady Nadzorczej był ob. Bolesław Roja.

W czasie krótkiego swego istnienia (cytuję z „Pamiętnika Zjazdu Związku Legjonistów w Krakowie, w r. 1922"), skupiło Stowarzyszenie około 300 członków. Prócz prac organizacyjno-statutowych, Zarząd przystąpił do organizowania warsztatów dla inwalidów i własnej kooperatywy.

Nadmienić wypada, że obok Krakowa do wcześniejszych ognisk organizacyjnych Związku Legjonistów należy także Lwów, gdzie już w 1918 r. powstaje Bratnia Pomoc b. Legjonistów Polskich, a także Tarnów, gdzie również powstaje jedna z pierwszych organizacyjnych placówek b. legjonistów. Podjętej jednak przez Zarząd Stowarzyszenia krakowskiego inicjatywie zwołania w Krakowie Walnego Zjazdu wszystkich istniejących w Polsce Oddziałów i skupienia luźnych dotąd poczynań, stanęły na drodze listopadowe wypadki w r. 1918. Powszechny zapał narodu, odzyskującego niepodległość, w szeregi tworzącej się armji polskiej porwał w pierwszym rzędzie b. żołnierzy legjonowych, co na razie zahamowało dalszy rozwój organizowanego Stowarzyszenia.

Dopiero jesienią r. 1919 (cytuję dalej za Pamiętnikiem Zjazdu), gdy potrzeba orężna przycichła, zapełnił się stary Kraków tymi, którym los pozwolił wrócić w progi domowe.

Pracę organizacyjną nad restytucją Stowarzyszenia b. legjonistów ujął w swe ręce ob. Dr. Zdzisław Kwieciński, który wspólnie z obywatelami Jakóbem Walentą, Karolem Szafranem i ś. p. Marjanem Hupczycem zwołali w październiku r. 1919 zebranie organizacyjne, na którem przy udziale blisko 200 b. legjonistów, uchwalono w Krakowie założyć Stowarzyszenie b. legjonistów, o charakterze na razie lokalnym. Podkreślić jednak należy, że już w ówczesnym zawiązkowem stadjum organizacji legjonowej ujawniła się tendencja federacyjna, czego wyrazem była statutowo przyjęta nazwa: Stowarzyszenie b. Legjonistów i Bratnia Pomoc b. żołnierzy armji polskiej. — Pierwszy Wydział Stowarzyszenia (rok 1919/20), stanowili: Dr. Zdzisław Kwieciński, jako prezes, Dr. Rudolf Radzyński jako wiceprezes, Jakób Walenta jako skarbnik, nadto jako członkowie Wydziału: Dr. Mieczysław Kaplicki, Piotr Gorecki, Aleksander Okrutniewicz, Dr. Dunikowski. Wydział ten ugruntował byt Stowarzyszenia, z niczego wprost stwarzając fundusze i skupiając koło idei legjonowej kilkuset członków.

Dzięki wysiłkom następnych z kolei urzędujących Wydziałów, krakowskie Stowarzyszenie b. legjonistów od jesieni r. 1919 nietylko trwa już nieprzerwanie, ale zwolna coraz więcej się rozwija i właśnie w roku bieżącym może już szczęśliwie obchodzić istotnie zasłużone 10-lecie swego istnienia. Na okres ten przypadają kierownictwa 6-ciu prezesów, w tem dwukrotna prezesura Dr. Zdzisława Kwiecińskiego (1919/20 i 1920/21), następnie prezesura prof. Wincen-

tego Wodzinowskiego (1921/22), Dr. Stanisława Steina (1922/23), ś. p. Henryka Kunzeka (1923/24), dwukrotna prezesura ob. Leopolda Tomaszkiewicza (obecnie członka Zarządu Głównego) i trzykrotna prezesura ob. Bolesława Pochmarskiego (od 1926 do 1929 włącznie).

Gdy zaś mowa o kierownictwie, godzi się wspomnieć z uznaniem szczególne dla organizacji zasługi, w pierwszym rzędzie tego, który choć nie chce obejmować oficjalnej godności, był i jest naszym duchowym przywódcą, tj. Dr. Płk. Kaplickiego, dalej z pierwszego okresu wielokrotnie pełniącego funkcję wiceprezesa ob. Jakóba Walenty i dawnego sekretarza ob. Piotra Wyrobka, dalej zasługi dr. Rudolfa Radzyńskiego, ob. Stefana Podworskiego i ob. Stanisława Wojtygi, z ostatniego zaś okresu z uznaniem podnieść należy szczególne dla rozwoju Związku zasługi ob. Ludwika Strojka, już 5 lat bez przerwy pełniącego z zapałem obowiązki sekretarza, a którego pracy ideowej i ofiarnej niechaj mi wolno będzie na tem miejscu złożyć pełne uznanie i serdeczną podziękę.

Przełomową chwilę w rozwoju organizacji stanowi I. Zjazd Legjonowy, odbyty w dniach 5, 6 i 7 sierpnia 1922 r. w Krakowie, kiedy to w obecności Komendanta, wśród niesłychanego zapału kilkutysięcznej rzeszy legjonowej, po 2-dniowych gorących obradach, powołano do życia ogólno-polską organizację b. legjonowych żołnierzy, tj. istniejący dzisiaj Związek legjonistów Polskich, na którego czele, po 2-letniej prezesurze płk. Dr. Stefanowskiego, przez szereg lat nieprzerwanie stoi obecnie najbliższy Towarzysz pracy Komendanta Płk. Walery Sławek, jako prezes Zarządu Głównego. Nadmienić należy, że w stworzeniu tej ogólno-polskiej organizacji legjonowej, krakowskie Stowarzyszenie b. Legjonistów odegrało poważną rolę, zarówno w zorganizowaniu samego Zjazdu i przygotowaniu obrad, jak też w ułożeniu statutu organizacyjnego, którego referentem na Zjeździe był ob. Radzyński.

Praca Związku Legjonistów poszła torami, zakreślonemi już przez krakowski Związek. Z jednej strony troska i opieka o materjalne zabezpieczenie b. żołnierzy legjonowych, z drugiej zaś — i to w pierwszym rzędzie — praca ideowa dla ugruntowania w szerokich sferach społeczeństwa państwowotwórczej ideologji Wodza Narodu Marszałka Piłsudskiego. Przypomniany apel Komendanta na pierwszym Zjeździe, że „tytuł legjonisty, to nie przywilej, to nie wypoczynek na laurach, ale obowiązek ciężkiej i owocnej pracy w każdym zawodzie", staje się wytyczną dla pracy organizacji i jej wszystkich członków, którzy odtąd starają się coraz intenzywniej brać udział w życiu publicznem.

Nową przełomową chwilę w rozwoju naszej organizacji stanowi czyn Komendanta w maju r. 1926, kiedy to w ślad za Wodzem cały obóz legjonowy, więc przedewszystkiem Związek Legjonistów, przeszedł do pierwszej linji bojowej, jako przednia straż ruchu i idei Komendanta w walce o wielką i mocarstwową Polskę.

Bez schlebiania krakowskiemu Związkowi Legjonistów, ale objektywnie ze spokojnem sumieniem stwierdzić możemy, że w tej ideowej pracy przetwarzania mózgów i serc społeczeństwa krakowski Związek Legjonistów coś niecoś zdziałał, ani na chwilę nie ustając w swych wysiłkach. Działa zaś w tym duchu nie dopiero od r. 1926, lecz już na szereg lat przed przewrotem majowym. W czasach, gdy wyznawać i głosić ideę Komendanta nie należało do rzeczy dobrze widzianych, było w Krakowie skupione w Związku Legjonistów grono zapamiętałych entuzjastów, z uporem głoszących Wodzostwo Narodu Józefa Piłsudskiego. Gdy zaś pytają się nas dzisiaj, gdzie byliśmy przed rokiem 1926 i w 1926, odpowiadamy: byliśmy zawsze zorganizowani w Związku Legjonistów, jako wierni żołnierze Komendanta i na jego rozkaz zawsze gotowi. Jeśli zaś w r. 1926 nie wystąpiliśmy tutaj w Krakowie do jakiejś akcji zamachowej, to wiadomo dobrze, iż nie było życzeniem Komendanta, by nieszczęsny rozlew krwi w Warszawie rozszerzać na inne odcinki, gdy rzecz cała miała się zadecydować tylko w stolicy.

Mówiąc o rozwoju dalszym naszej organizacji, nadmienić należy, że od r. 1922, tj. od powstania ogólnego Związku Legjonistów, Zarząd krakowskiego Oddziału wszedł w szerszy zakres działania przez przyznanie mu praw Okręgowego Zarządu i objęcie bezpośredniej opieki nad wszystkiemi legjonowemi placówkami na terenie Województwa krakowskiego. W ten sposób w orbitę wpływów i pracy krakowskiego Zarządu, już odtąd Okręgowego Zarządu, wszedł przedewszystkiem Związek Legjonistów w Tarnowie, dalej ruchliwy Związek Legjonistów w Jaworznie, jak też Związek Legjonistów w Zakopanem, Białej, Brzeszczach, a później w Dziedzicach (ten ostatni przeszedł niedawno do Okręgu Śląskiego).

Odtąd też datuje się dalszy stały rozwój okręgu przez powstawanie coraz to nowych Oddziałów. Dzisiaj jest ich już 28. Jest to liczba stosunkowo znaczna. Że większość Oddziałów powstała dopiero po przewrocie majowym, tłumaczy się to tem poprostu, że w niektórych środowiskach, zahukanych przez rządzące wpływy przed-majowego partyjnictwa, legjoniści nie mieli najmniejszych warunków do organizowania się i działania. Dopiero rok 1926 wyzwala wpływy legjonowe i daje im swobodniejsze pole do pracy. Istniejące odtąd Związki, jak w całej Polsce, tak i na naszym terenie, mają znaczenie nietylko jako zorganizowane skupiska b. legjonistów, lecz także jako ważne ośrodki państwowo-twórczej ideologji Marszałka Piłsudskiego.

Jak szczegółowo przedstawia się rozwój Okręgu i Oddziałów, to już należy do sprawozdania organizacyjnego. Nadmienię jeszcze tylko, że czołowy Oddział krakowski, wskutek napływu szeregu nowych ideowych i ruchliwych jednostek, mógł wejść na tory samodzielnej pracy, dzięki czemu Zarząd Okręgu wyodrębnił się od Zarządu Oddziału, a Zarząd Oddziału

krakowskiego w czasie 2-letniej owocnej prezesury ob. Dr. Stanisława Łukasika, wraz z wejściem na Wawel, wszedł w okres znacznego rozwoju. Z uznaniem jednak podnosząc rozwój Oddziału krakowskiego z lat ostatnich i zasługi b. prezesa Dr. Łukasika, jak też życząc dalszych równie owocnych wyników w pracy obecnemu prezesowi Dr. Radzyńskiemu, nie zapominamy o niemałej sumie wysiłków poprzednich Zarządów, które jeszcze w czasach przedmajowych, wśród warunków bardzo trudnych, zarówno w skromnym lokalu przy ul. Franciszkańskiej, czy też w niemniej ubogiej kwaterze strzeleckiej przy ul. Florjańskiej, potrafiły utrzymać ideową siłę Związku i przygotować grunt dla dalszego rozwoju.

Wspomnieć również należy, że w tych ciężkich czasach ideowem oparciem dla Związku Legjonistów, obok ścisłej współpracy z bratnią organizacją Związku Strzeleckiego, był także krakowski Związek Inwalidów, którego stanowisko, pełne oddania w stosunku do Wodza Narodu, już oddawna stworzyło w Krakowie pierwszą podstawę federacyjnego współdziałania.

Jeśli idzie o ostatnie 3-lecie, w ciągu którego miałem zaszczyt przewodniczyć Okręgowi, a w szczególności o ostatni rok sprawozdawczy, to w tym czasie istotnie dzięki pomyślniejszym warunkom, znacznemu ożywieniu wśród ogółu b. legjonistów, oraz nie dającej się zaprzeczyć intenzywnej pracy wszystkich członków Okręgowego Zarządu, rozwój Okręgu postąpił znacznie naprzód. Uwydatnia się to nietylko w 5-krotniem powiększeniu się ilości Oddziałów, lecz także we wzroście twórczej siły elementu legjonowego, jako, pożytecznego współczynnika w życiu budującej się Polski. Wspominając dzisiaj jeszcze raz fakt walnego zwycięstwa legjonowego na tym terenie w czasie wyborów (wybór 8-miu posłów legjonistów!), w ostatnim okresie sprawozdawczym należy stwierdzić, że idea legjonowa coraz silniej zaznacza się i to nietylko w szeregu wymownych, a licznych manifestacyj narodowych, lecz także w konkretnych wysiłkach i pracach w dziedzinie samorządowej, społecznej, kulturalnej i gospodarczej. To też ostatni okres nazwać można okresem tężenia i umacniania się naszych sił w terenie. Obrazem tego są nasze Związki — prócz krakowskiego — w Nowym Targu, Zagłębiu Chrzanowskiem, Wieliczce, Zakopanem, Tarnowie, Mościskach, Wadowicach, Nowym Sączu, Białej, a ostatnio w Podgórzu-Płaszowie. Podkreślić przytem należy, że niektóre z tych Związków uzyskały znaczny wpływ wśród sfer robotniczych, współpracując bądź to z Gospodarczemi Związkami Zawodowemi, bądź to z PPS. Frakcją Rewolucyjną. Na niektórych jednak odcinkach sytuacja nasza jest ciężka i ciągle trudna (Dębica, Dobczyce, Limanowa, Myślenice, Żywiec). Składa się na to wiele przyczyn. Jedną z nich jest jeszcze tu i ówdzie trwająca nieufność wzajemna, pomiędzy czynnikiem legjonowym, a miejscowemi rządzącemi czynnikami, czy też niechęć miejscowego społeczeństwa, opanowanego przeważająco wpływami wrogiego nam partyjnictwa. Kulą u nogi niektórych Oddziałów, nawet tych, które zdołały się zdobyć na większy rozmach, jest nieustająca dotąd biedota poszczególnych członków. Niektórzy z nich, wyczerpani ciężką wojenną służbą i niemniej ciężką dolą życiową, szukają w Związku już dzisiaj tylko pomocy i oparcia, niezdolni do większych wysiłków na rzecz wspólnej sprawy. Tym kolegom organizacja nasza musi iść z pomocą, co też w miarę środków swych czyniła i czyni usilnie. Że całej biedoty i niedoli z szeregów b. legjonistów nie udało się nam usunąć, nie nasza to napewno wina. Może są jakie z naszej strony niedopatrzenia, niechaj je naprawi i wyrówna Zarząd następny. Chęci mieliśmy zawsze jak najlepsze, zawsze będąc na usługi kolegów, zawsze spiesząc z pomocą w sprawach, które nam były należycie zgłoszone i należycie umotywowane. Lecz pamiętać należy, że czasami trudno coś zrobić, gdy z jednej strony tu i tam ma się jeszcze przeciwko sobie mur uprzedzeń, a z drugiej strony zdarzający się wśród naszych kolegów, spowodowany następstwami wojny, brak fachowego przygotowania, i gorzej jeszcze, życiowe wykolejenie i zupełnie zdruzgotanie zdrowia. Domy uzdrowieńców są tutaj potrzebne. To też budowa domów legjonowych jest sprawą coraz więcej aktualną.

Poza akcją przygotowawczą, będącą już w pełnym toku dla zbudowania pomnikowego Domu im. Piłsudskiego w Oleandrach, mającego jednak głównie służyć zadaniom P. W. i W. F., w planie, a względnie już w przygotowaniu są domy legjonowe w Jaworznie, Zakopanem, Krynicy, Wadowicach i Ciężkowicach (Grybów), które z czasem mogą spełnić ważne zadanie w zabezpieczeniu życia chorych i wykolejonych jednostek, których niestety nie brak. Zanim jednak te plany staną się rzeczywistością, już dzisiaj doraźnie myśleć potrzeba o stworzeniu choćby tymczasowego dachu nad głową dla bezrobotnych i chorych b. legjonistów, wędrujących dzisiaj zazwyczaj z Okręgu do Okręgu, a którzy mimo, że piersi ich zdobią krzyże waleczności, rzuceni są na pastwę poniewierki. Pomoc organizacji tutaj nie wystarczy. Potrzebną jest tutaj pomoc wszystkich władz, rządowych i komunalnych, które w interesie Państwa wspólnie z Federacją winny jak najintenzywniej zaopiekować się dolą nietylko b. legjonistów, lecz wszystkich b. żołnierzy.

Stwierdzić oczywiście należy, że ze strony wszystkich władz, Zarząd Okręgowy Zw. Leg. doznawał życzliwej pomocy. Apelując zatem do Władz o większą jeszcze czujność w tej sprawie, poczuwam się równocześnie do miłego obowiązku złożyć obecnym tutaj przedstawicielom Władz, jak najserdeczniejsze podziękowanie za dotychczasową skuteczną opiekę. — W Panu Wojewodzie Dr. Kwaśniewskim, Naszym Towarzyszu broni, mamy serdecznego przyjaciela i opiekuna, któremu też na ręce jego przedstawiciela p. naczelnika Walickiego serdecznie dziękujemy. Za przyjazne serce dla wspólnej naszej sprawy, jak też dla doli legjonistów, składam gorące podziękowanie Panu Generałowi Wróblewskiemu, jak też wszystkim przedstawicielom Wojska, w szczególności Dowódcy 20 p. p. Ziemi krakowskiej, Pułkownikowi Kruk-Szusterowi. — P. Prezydentowi Rollemu

i pp. Wiceprezydentom Dr. Schneidrowi, Dr. Wielgusowi, Ostrowskiemu i Landauowi, również składam serdeczne podziękowanie za wielokrotnie okazaną życzliwość ze strony miasta dla spraw naszej organizacji. P. Prezesowi Gregerowi również składam gorące podziękowanie za poparcie w sprawach zaopatrzenia b. żołnierzy, w tej dziedzinie najtrudniejszej do zaspokojenia, a która jeśli idzie o zasłużonych legjonistów i inwalidów, ciągle słusznie jest otwartą. — Wszystkim przedstawicielom Władz, p. Dr. Gorzeckiemu z tut. Dyrekcji Kolejowej, p. Dr. Macce z Wydziału Opieki Społecznej Województwa, Kierownikowi Zakładu Umundurowania Kpt. Tyczce, również od nas serdeczne podziękowanie i prośba o dalszą pomoc.

Oczywiście pomagać musimy istotnie zasługującym, tępić zaś wszelkiego rodzaju nadużywanie tytułu legjonisty, czy b. żołnierza. Dziękuję również Zarządowi Głównemu, w szczególności Płk. Sławkowi, Dr. Polakiewiczowi, Kpt. Starzakowi i Kpt. Nowakowi za okazaną nam pomoc, a wszystkim moim współpracownikom bezpośrednio, więc prezesom Oddziałów i członkom Zarządu Okręgowego szczera wdzięczność za rzetelną współpracę. W szczególności podnieść muszę wytężającą pracę w dziedzinie Bratniej Pomocy ze strony kolegów Zakrockiego, Widlińskiego, Służewskiego, a przedewszystkiem ob. Ruszkowskiego, który zawsze był na posterunku i najwięcej borykać się musiał z walącą się na nas zewsząd biedą i potrzebą ludzką. Również dziękuję kolegom tym, którzy mnie osobiście intenzywnie pomagali w działalności propagandowej, więc ob. Strojkowi, Orzelskiemu, Ruszkowskiemu, Radzyńskiemu, a z poza Zarządu Dr. Klimeckiemu, podkreślając, że praca propagandowa nie jest tak łatwą, jak się to niektórym wydaje. Wymaga ona częstych, a męczących nieraz wyjazdów, wyczerpujących nerwy przemówień i ciągłego pogotowia na wezwania poszczególnych Oddziałów.

Jeśli zaś idzie o propagandę, to przedmiotem tej pracy było i jest dalsze rozbudzanie i ugruntowanie w społeczeństwie państwowo-twórczej ideologji Marszałka Piłsudskiego. W pracy tej nie zacieśnialiśmy się tylko do własnych szeregów, szczerych zwolenników i współpracowników wspólnej z nami idei z czwartej lub nawet dziesiątej brygady witamy jak najchętniej, byle o współpracy z nami decydował moment przekonania, a nie moment karjery. W pracy tej nad urabianiem duszy społeczeństwa w kierunku budzenia myśli państwowej, nie zamykamy drzwi przed kolegami, którzy związani z pewnemi konkretnemi hasłami i ugrupowaniami, nie mogą do tej pory zerwać z więzią tych, czy innych partyj.

Przeciwstawiać się będziemy jednak każdemu partyjnemu zacietrzewieniu, każdemu ciasnemu doktrynerstwu z lewej, czy prawej strony, a przedewszystkiem każdemu podstępnemu działaniu godzącemu w budowniczy trud wielki Wodza naszego Marszałka Piłsudskiego. *Ukrytych, czy jawnych wrogów Komendanta w szeregach naszej organizacji nie ścierpimy!*

Mogą być socjalistami, czy ludowcami, radykałami, czy prawicowcami, lecz jeśli chcą zostawać w naszych szeregach, nie mogą łączyć się pośrednio czy bezpośrednio z tymi, którzy systematycznie podkopują autorytet i pracę Marszałka. Jeśli w nas wykonawcach idei Komendanta widzą zło, widzą jakie błędy, niechaj z niemi walczą wśród nas, w łonie organizacji, bo gdy to czynią poza organizacją, to choćby to czynili rzekomo pod znakiem służenia idei i sprawie legjonowej, stają w szeregach przeciwników sprawy Komendanta, dając wrogom naszym dogodne argumenty. Tutaj sympatja czy antypatja osobista do takich czy innych członków Zarządu, do takich czy innych posłów, działaczy, kierowników, czy nawet ministrów, jest tylko pretekstem, którym często zasłania się służenie bynajmniej nie-legjonowej sprawie. Jednostki mogą się zresztą zmieniać, lecz zostać winna siła organizacji, siła obozu której prawdziwym i rzetelnym legjonistom nie wolno podrywać, przez szerzenie tak łatwego „malkontenctwa", przez systematyczne godzenie w organa kierownicze Związku. Jeśli zaś zarzuca się Związkowi, jakoby rzekomo działał partyjnie przez współdziałanie z B. B. W. R., to jest to grube nieporozumienie. Dla nas legjonistów, którzyśmy łączyli się kiedyś bez różnicy stanów i przekonań, robotnicy, chłopi i inteligenci, pod wspólnym sztandarem walki o niepodległość, Blok Bezpartyjny nie jest partją, lecz tylko tą szeroką platformą obywatelską, na której pod znakiem wspólnej idei państwowej, w twórczej współpracy, łączą się ze sobą ludzie różnych stanów i przekonań. BBWR. to nie partja zacietrzewionej ciasnoty, lecz szeroko pojęty związek ludzi i organizacyj, łączących się ze sobą dla pewnych wspólnych konieczności państwowych.

Jedną z tych konieczności aktualnych, którą Komendant postawił przed nami, jest w tej chwili doniosła sprawa rewizji konstytucji, w kierunku wzmocnienia władzy w Państwie i uzdrowienia chorego dzisiaj parlamentaryzmu. Dla tej to konieczności, a w związku z tem, dla wspólnego budowania mocarstwowej potęgi Państwa, zwrócił nas Komendant w stronę bezpartyjnej organizacji, jaką jest BBWR., co wyraźnie wskazał nam najbliższy Towarzysz pracy Komendanta Pułkownik Sławek. Wola Komendanta dla szczere-

go legjonisty, coś chyba tutaj znaczy! Kto głosi wierność dla Komendanta, a równocześnie pracuje np. w szeregach PPS. CKW., organizacji podrywającej dziś autorytet i pracę Komendanta, ten kłamie albo sam ze sobą jest w niezgodzie. Frakcja Rewolucyjna PPS. okazała, jak można ciasnotę więzi partyjnej złamać, gdy idzie o prawdziwą służbę dla Państwa, dla warstwy pracującej, gdy idzie o prawdziwą wierność dla Komendanta.

Chwila, w której ten Zjazd odbywamy, jest bardzo ważna. Zbliżamy się szybkim krokiem do rozstrzygającego momentu. Jaka będzie decyzja Pana Prezydenta i jaki będzie Rząd nowy, nie wiemy. To pewne jednak, że nasz Wódz w walce nie ugnie się i dotąd nie spocznie, póki nie wprowadzi Ojczyzny na tory silnego rozwoju. Na każdym odcinku pracy musimy być z Nim, musimy być gotowi do dalszych nowych wytężeń. Duże i ważne w tym kierunku możności posiada nasza organizacja. Pamiętajmy więc, by trapiąca nas troska o byt i zabieganie o materjalne zabezpieczenie losu naszych kolegów, nie zasłaniały nam oczu na główne zadania, jakie jeszcze w Polsce jako żołnierze Józefa Piłsudskiego, mamy wykonać.

To też, gdy dzisiaj nieodwołalnie ustępuję ze stanowiska prezesa Okręgu, następnemu Zarządowi i wszystkim kolegom życzę, by broniąc doli legjonistów i naszych twórczych wartości, pamiętali o wielkiej służbie państwowej, której szermierzami będziemy do ostatnich dni naszego życia. Życząc zaś następnemu Zarządowi jaknajlepszych wyników dalszej pracy, do wszystkich kolegów jeszcze raz zwracam się z przypomnieniem wezwania Komendanta, że tytuł legjonisty, to nie przywilej, to nie wypoczynek na laurach, ale obowiązek ciężkiej i owocnej pracy w każdym zawodzie.

WOJCIECHOWSKI FELIKS.

Laurence Oliphant

pisarz i parlamentarzysta angielski, uczestnik powstania 1863 r.

W stuletnią rocznicę urodzin (1829—1929 r.).

Mrs. Margaret Oliphant Wilson (ur. 1828 r., zm. 1897 r.), głośna w Anglji pisarka, a zwłaszcza jako autorka prześlicznych nowel, czytywanych do dnia dzisiejszego, w dziele p.t.: „Memoir" (2 tom. 1891), będącem bjografją jej kuzyna Laurence Oliphant'a, kilkakrotnie wspomina o jego udziale w powstaniu 1863 r. (participating in the Polish insurection of 1863).

Laurence Oliphant urodził się w południowej Afryce, w Capetown, stolicy Capeland'u. Rodzice jego pochodzili ze znanego rodu w Szkocji. Ojciec Sir Anthony Oliphant, ożeniony z córką pułkownika Campbell'a, dowódcy 72-go pułku piechoty szkockiej „Highlanderów", był pełnomocnikiem generalnym rządu w Cape. Laurence otrzymał staranne wychowanie jedynaka zamożnych rodziców. Pierwsze wrażenia, jakich na zaraniu życia doznał Laurence, wskazywały na to, iż w przyszłości nie usiedzi spokojnie na jednem miejscu.

Do rodzinnego miasta, leżącego niedaleko Cape of Good Hope (Przylądek dobrej nadziei) zawijały statki, pierwsze parowce. Były to czasy początkowe nowożytnej żeglugi międzyoceanicznej, a Cape leżał na bardzo ważnej drodze morskiej do wschodniej Afryki, Arabji, Indji i Dalekiego Wschodu. Dopiero otwarcie kanału Suezkiego zdeklasowało tę światową arterję, niemal do linji lokalnej (1869 r.). Tu od starych wilków morskich, między którymi wielu było korsarzy, nasłuchał się chłopczyk ciekawych opowieści o dalekich krainach i działających na wyobraźnię przygód. Również okoliczności złożyły się tak, że Oliphant od dzieciństwa był podróżnikiem. Ojciec jego został przeniesiony w charakterze naczelnego sędziego na wyspę Ceylon, a kilkuletni jedynak bez mamy i papy zmuszony był odbyć podróż do metropolji, gdzie był oddany do szkół. Dopiero w 12-ym roku życia zobaczył rodziców na Ceylonie. Gdy miał 17 lat, państwo Oliphant wyjechali z Ceylonu na dwuletnią podróż po Europie. Laurence świeżo zapisany na wydział prawa w Camblidge University, przekonał rodziców, iż dla dobra jego wykształcenia, należy się mu urlop od studjów na dwa lata w celu odbycia tej podróży w towarzystwie rodziców. Od tego czasu, według jego wyrażenia, był „a rolling stone" (toczący się kamień) po Europie, Afryce, Azji i Ameryce.

Na raty ukończył uniwersytet. W burzliwych tych czasach powstań uciemiężonych ludów Europy, wszędzie spotykamy Oliphanta. Żadna poważniejsza rewolucja, powstanie i wojna nie obyły się bez jego udziału. Wszędzie naturalnie musiał spotykać Polaków. Po niepotrzebnie przegranej 1831 r. bohaterscy Czwartacy wyszli na tułaczkę i rozpoczęli emigracyjny okres Dziejów Narodu, roznosząc sławę polskiego imienia po całym świecie. Walczyli za wolność Belgji, przelewali pod Mierosławskim krew za Niemcy południowe, zlecieli się pod Bemem na odsiecz Madziarom, prowadził ich Chrzanowski na Austrjaków za wolność i zjednoczenie Italji, zmobilizował Wieszcz na pomoc Turkom, nawet w przymierzu z orłami Kaukazu, Szamyla Czerkiesami na równi ze szczytami Araratu gromili carskie połczyszcza. Każdy ujarzmiony lud Europy mógł liczyć na ich zawodową ofiarną pomoc. Zresztą sam Oliphant pisze w „A Filibustering Expedition", w opisie ostatniej wyprawy korsarskiej, która miała miejsce w 1857 r. na wybrzeżach Środkowej Ameryki: There were Englishmen who had been private soldiers in the

I. Polowa drużyna Sokoła w Gorlicach na boisku „Sokoła" gorlickiego w chwili wymarszu dnia 13 IX. 1914 r. do miejsca zbornego Legjonów Polsk. w Krakowie

Z zbiorów St. Wcżniska, Gorlice.



Crimea, Poles who had fought in the last Polish insurrection, Hungarians who had fought under Kossuth, Italians who had struggled trough the revolutions of 48, więc w miłej tej kompanji bojowników za nowożytną, demokratyczną Europę, Polacy zajmują drugie miejsce. Nasz bohater spiskował z Giuseppe Garibaldi w Italji. W czasie wojny krymskiej znajdował się w sztabie Omera Paszy. Ciekawy ten awanturnik przypadł Oliphant'owi bardzo do smaku. Michał Latas, tak brzmiało jego chorwackie nazwisko, kadet-sztyfciarz austrjacki, następnie dezerter i poturczeniec, dzięki nadzwyczajnym zdolnościom doszedł do stanowiska głównodowodzącego armji tureckiej (Serdar Ekrem) i ministra wojny. Następnie uczestniczył w wyprawie korsarskiej w Nicaragua, skąd udało mu się z wielką biedą zbiec przed szubienicą.

Po niepowodzeniu, jakiego doznał, gdy upadł przy wyborach do parlamentu, wyjechał w 1857 r. z misją dyplomatyczną Lorda Elgina do Chin. Tu brał udział w drugiej wojnie angielsko-francuskiej przeciw Chinom o „otwarcie drzwi". Uczestniczył w szarży przy zdobyciu fortów Peiho i pierwszy wdrapał się na mury przy szturmie Tien-tsin'u. W 1861 r. w Japonji, w czasie walk ulicznych w Yedo został ciężko ranny przez Roninów (Mężowie fal), podupadłych i bezrobotnych samurajów. Powstanie to miało na celu wypędzenie cudzoziemców z Japonji. W 1863 r. brał udział w powstaniu styczniowem. W następnym roku walczył w szeregach armji duńskiej przeciw najazdowi austrjacko-pruskiemu. Potem ustatkował się i osiedlił się w Londynie w zamiarze poświęcenia się życiu politycznemu. Osobiście przyciągający, zdolny pisarz i adwokat, przytem dowcipny, był mile widziany w modnych salonach Londynu. Zdawało się, iż wszystkie najwyższe zaszczyty społeczne i polityczne wkrótce osiągnie. Wszedł do House of Commons jako poseł z okręgu Stirring Bourghs i wnet zasłynął, jako wiele obiecujący członek młodego stronnictwa liberalnego, które pod wodzą założyciela Benjamina Disraeli miało przebudować Anglję w Wielką Brytanję. Właśnie w tym czasie wypłynął na wyżyny życia politycznego ten genjalny żyd-wychrzta, koncypjent adwokacki, poprzedzony sławą wielkiego pisarza o reformatorskich tendencjach. W chciwie czytanych książkach przyszły Earl of Beaconsfield odmalował życie arystokracji angielskiej. Zjednał sobie zwolenników, założył grupę „Młoda Anglja", która była kadrą stronnictwa liberalnego. Wreszcie wyłożył swoje credo polityczne w słynnej trylogji „Coningsby, orthe new generation", „Sybil, orthe nations", „Tancred, orthe new crusade". Czy Lord Beaconsfield był faryzeuszem, szarlatanem, szczęściarzem, nowo-bogackim, za jakiego uważają go wrogowie, czy też największym mężem stanu, po William'ie Pitt'cie (młodszym), jak twierdzą jego przyjaciele polityczni, w każdym razie wyprowadził Anglję na arenę świata, jako rekordową potęgę.

Oliphant posiadał wszelkie dane, aby wypłynąć w czasach tej sprzyjającej konjunktury politycznej. Niestety zaszedł wypadek, który zwichnął jego świetnie zapowiadającą się karjerę. Zarzucił na niego macki ciemny kaznodzieja podejrzanych doktryn Mr. Thomas Lake Harris. Właśnie w tym czasie zaczęły grasować w Londynie różne towarzystwa wywołujące duchy, djabły, prorocze stoliki i talerzyki. Wkrótce rupieciarnia ta przejechała przez Atlantyk do Ameryki. Tu jednak z właściwą tężyzną rasy amerykańskiej przeszła w różne związki, w których atletyczni rzeźnicy praktycznie wykładali „nowe życie" znudzonym princesom dolarowym. Ciemna ta fala przetoczyła się nieszkodliwie po Europie, aż znalazła podatny grunt w rosyjskiem „bogoiskatielstwie". Poczyniła olbrzymie spustoszenia w umysłowości inteligencji rosyjskiej i przy braku oświaty w masach chłopstwa, zaprowadziła Rosję wprost w objęcia trzeciego internacjonału. Ciemny ten świat słynnej p. Bławatskiej opisał w prześlicznym „Wampirze" Władysław St. Reymont.

(Dokończenie nastąpi).

Bitwa pod Krzywopłotami.

I.

Odwrót w całej pełni... Prusacy z pod Warszawy i my z nimi, Austrjacy z pod Dęblina, a z nimi I., III. i V. Baon Strzelców. Cofnąwszy się z Niedabylu, czujemy, że jesteśmy ostatni, bo sprzymierzeńcy już wyrwali... Oglądamy się niespokojnie za siebie. Pod wieczór jednego z końcowych dni października 1914 lokujemy się w stodołach jakiejś grupy chałup, niewiadomo do jakiej wsi należących, położonych obok szosy warszawsko-radomskiej. Rychło świt zrywamy się. Nie zdążyliśmy jeszcze zabrać z kuchni śniadania, a tu pak... pak... pak, rosyjskie strzały! Depczą nam mochy po piętach! Nie bardzo kwapiła się wiara do odmarszu, boć przecie żal herbaty. Trudno trzeba było! Dowódca baonu Wyrwa, huknąwszy: zbiórka! postawił bataljon gotowy do dalszej drogi. Tabory w środek! Marsz!

Jakiś zapóźniony „tren" austrjacki oberwał od Kozaków. Feldwebla, prowadzącego tabor naznaczyli Kozunie na gębie! Trochę poturbowany c. i k. tabor zdążył jednak w części wtłoczyć się w linję osłaniającej ogólny odwrót piechoty niemieckiej.

Teraz dopiero zaczynają się dla nas przyjemne czasy. Maszeruj bracie wśród niekończącego się węża taborów. Wiara zmachana, człapiąc ledwie chodakami, wlekła się luzem, bo o kolumnie marszowej nie mogło być nawet mowy. W marszu przeszkadzały nietylko tabory, ale także zmęczenie ludzi, nieodżywionych i gnanych ponad 50 km. dziennie. Każdy szedł, jak mu najwygodniej było, byle tylko iść; wyrzucał z plecaka wszystko, co tylko mogło ciążyć ramionom, nawet naboje.

Gospodarczo nie należeliśmy w czasie odwrotu do nikogo, przeto jasnem jest, że stałym naszym towarzyszem w marszu był głód. Każdy radził sobie, jak mógł. Z najniewinniejszą miną w świecie okradaliśmy tabory niemieckie i austrjackie. Sprytnie to urządzaliśmy! Jeden z nas „obrabiał" prusaka, siedzącego na wielkim furgonie, opowiadając mu niebywałe historje. Prusak słuchał z fajką w zębach historyjek, a inni tymczasem „obrabiali" furgony, wykradając z wozów wszystko, co pod rękę wpadło. Z furgonów zaprzężonych w olbrzymie konie, wyrzucali taboryci niemieccy i austrjaccy owies, sól etc. Korzystali z tego nasi taboryci. Chleba, sucharów i innych specjałów nie wyrzucano, musieliśmy je kraść. Legalnie przychodziliśmy do posiadania soli. Bagnetem po worku i sprawa skończona! Sól rozdrapaliśmy i pochowali do woreczków, zauważywszy już uprzednio, że brak jej daje się odczuwać szczególnie ludności cywilnej. Zaczęliśmy handel zamienny. Każdy żołnierz na wojnie staje się potrochu handlarzem, zamienia odzież, obuwie na jeden artykuł, a mianowicie na „żarcie". Odstępowaliśmy sól gosposiom na kwaterach wzamian za jaja, ser i mleko. Wiadomo, że na wsi nie można było dostać nic do zjedzenia za pieniądze. Stereotypowe „byli nasi, byli wasi" zamykało dostęp do komór wieśniaczych. Perspektywa posolenia strawy, otwierała zatwardziałe serca chłopskie i zawsze jeszcze coś się znalazło mimo, że „byli nasi, byli wasi".

Droga odwrotu wypadła nam na Kielce, gdzie spodziewaliśmy się złączyć z resztą bataljonów strzeleckich. Dowlekliśmy się wreszcie po kilkudniowym marszu do upragnionych Kielc. Tu obiecano nam jednodniowy odpoczynek. Weszliśmy późnym wieczorem. Zanim wyszukano kwatery, rozmieszczono nas w nich, sporo upłynęło czasu. Wiara zwaliła się na ulicy, jak kłody. Większość zaczęła chrapać! Po jakiejś dobrej godzinie ruszono nas z miejsca. Klątwy z szeregów dały wyraz depresji i niezadowoleniu żołnierzy. Żołnierz nie szuka przyczyny. Źle mu, to klnie na czem świat stoi. Kwater nie było, bo wszyscy uciekali na Kielce. Wszystkie budynki „rządowe" były zajęte.

Znaleziono jednak locum w budynku, w którym mieścił się za naszej pierwszej bytności w Kielcach „Czerwony Krzyż". Na tej kwaterze mieliśmy wygody, spaliśmy bowiem na gołych stołach...

Po prawie nieprzespanej nocy, ja i Stach Grolicki, wymknęliśmy się przez okno na ulicę. Nie wypuszczano nas na miasto z obawy, ażeby się wiara nie rozlazła, w każdej bowiem chwili mogliśmy być zmuszeni do odmarszu.

Przechodząc przez pryncypalną ulicę Kielc, natknęliśmy się na niewiastę, która powitała nas miłem słowem:

— Cóż tu robicie kochani?

— Proszę pani, my teraz pomagamy uciekać Prusakom z pod Warszawy...

— Pewnie biedacy jesteście głodni?... Pozwólcież do mnie na kawę.

Wdzięcznie przyjęliśmy zaproszenie... Jak to nasze „wdzięcznie" wypadło, dziś sobie przypomnieć nie mogę, podejrzewam jednak, że to musiało być coś w rodzaju „dlaczego nie", niewypowiedziane wprawdzie słowami, ale minami. Wdzięcznie przyjęliśmy zaproszenie także i dlatego, że nie dla zdrowia przecie urządziliśmy sobie wycieczkę poranną...

Zacna to była niewiasta! Nietylko zacna, ale i mądra! Jak ona to wyrozumowała, patrząc na na-

sze zamazane pyski, że nie jedliśmy uczciwie, przynajmniej od chwili, gdy byliśmy pierwszy raz w Kielcach.

Ale nie na tem koniec! Podziękowawszy za przyjęcie, myszkowaliśmy dalej... Stach przypomniał sobie adres!

— Bo wiesz — tłumaczył mi — staliśmy tu (wskazuje palcem na kamienicę), jako kordegarda, napewno nas ci zacni ludzie poznają.

Pukamy... Po pewnych ostrożnościach, zrozumiałych w tych czasach, otworzyła nam drzwi służąca, skrzecząc radośnie:

— Proszę Pani, Strzelcy!

Otwierająca Kasia miała powody do radości, spodziewała się bowiem swego bohatera; pani domu zaś, niemniej rozradowana dla innych jej tylko wiadomych powodów, poprosiła nas dalej.

I znowu wyżerka. Przedni wiśniaczek, olbrzymi talerz (Broń Boże talerzyk!) jajecznicy, moc białego chleba, olbrzymie rożki kieleckie, masło, ser, herbata ze śmietaną etc. stanowiły drugie, z przyjemnym uśmiechem podane śniadanie. Wszystko spuściliśmy łakomie! Aże wstyd o tem wspominać!

— Jakie to mądre i zacne te Kielczanki!

Po godnem nasyceniu się, zrobiło nam się trochę głupio, niewiasta jednakże uważała widocznie sprawę za najbardziej naturalną w świecie, że wbiliśmy tyle specjałów, bo nie zdradzała zdziwienia...

„Nasyceni“, przekradaliśmy się chyłkiem do kwatery. W sam czas, bo właśnie bataljon gotów był do wymarszu. W czasie odmarszu wydarzyła się niemiła scena, którą urządziła jedna z żon naszego strzelca. Strzelec ów, pochodząc z Kielc, wsiąkł w domu i nie myślał o powrocie do kompanji. Rozumował pewnie, że kiedy Moskale biją i pędzą z pod Warszawy Prusaków a z pod Dęblina Austrjaków, to właściwie sprawa nasza skończona, a łaskawe bogi przygnały go akurat właśnie do domu w ramiona stęsknionej do niego połowicy. Wyrwa jednak, był innego zdania — nie wierzył w uśmiech losu dla onego strzelca. Posłał po niego patrol. Baba nastraszona rozstrzelaniem małżonka za dezercję, zawodziła hałaśliwie, towarzysząc nam kilka kilometrów poza Kielce.

Jakoś pod wieczór złączyliśmy się z resztą bataljonów, cofających się z pod Dęblina. Kwatery wypadły we wsi Borzechów. Przybywszy na miejsce, zastaliśmy jeszcze większe przepełnienie, aniżeli w Kielcach. Spałem przy chałupie pod daszkiem, który ochraniał podściółkę pod bydło od deszczu i śniegu. Wspakowałem się w środek, zakopałem się prawie



MIKOŁAJ WASILEWICZ

Weteran z 1863 r. obecnie mający lat 88. Jeden z tych już tak nielicznych, co walczyli przed pół wiekiem, wśród cierpień i niedoli o wolność ukochanej Ojczyzny

całkiem. Ciepło mi było, może nawet za ciepło, bo, wstawszy rano, miałem wilgotną odzież. Podściółkę stanowiły liście zgrabione w lesie. Niewysuszone dobrze, zaparzyły się, zatrzymując dość wysoką temperaturę i wilgoć.

Pod Borzechowem właśnie zamyślali Austrjacy powstrzymać napierającą nawałę rosyjską. My zaś mieliśmy za zadanie kontratakiem dowieść Moskalom, że ofenzywa ich już się skończyła i nie zamierzamy ich dalej puścić. Wieczorem ustawiono nasz bataljon z orkiestrą do przeglądu. Przybył Komendant, odebrał od Wyrwy raport, popatrzył na facjaty... Po skończonym przeglądzie stanął przed frontem i rzekł: „Pójdziecie na bagnety“. Początkowo zapanowała grobowa cisza, w każdym coś zadrgało... Wiadomo, że bagnet przypomina nóż rzeźnicki. Dotychczas bagnetem wojowaliśmy wtedy, kiedy trzeba było otworzyć konserwy mięsne (rzadko się to zdarzało z przyczyn od nas niezależnych), a co najwyżej nakładaliśmy go przy przechodzeniu lasu lub w czasie patroli nocnych.

Wstręt do tej broni przezwyciężyła wiara szybko! Tu i ówdzie dały się słyszeć okrzyki:

— „Za rok 1863", „za rok 1905".

Na szczęście coś się zmieniło, rozkaz wydany przez Komendanta został cofniętym. Piszę na szczęście, bo każdy z nas robił dobrą minę i wielką odwagę, jednak na dnie duszy ten bagnet nie dawał spokoju. Wszystko rozkażcie, pójdziemy, boć nieraz już przecie chadzaliśmy jak na jakie dożynki. Niczem nam były takie czy siakie kule, nawet się człek dziwował, że tego rodzaju dożynki go nie wzruszają, ale na bagnety... to coś nie bardzo, jakby to powiedzieć... za poetycznie...

Zresztą, przestańmy o tem mówić, nie poszliśmy na bagnety, a to grunt!

Na nowo zaczyna się powtarzać udręka odwrotu. Jakoś niezbyt już daleko od Krzywopłotów maszerowaliśmy nocą. Oj, był to cudowny marsz, co ujdziesz parę kroków, to bęc... łbem w plecy twego poprzednika... Cholera nadała takie maszerowanie...

Marsz taki kosztuje więcej zdrowia, jak dziesięć dni marszu w porze dziennej, bo to i tracisz zdrowie z powodu nieprzespanej nocy, oprócz tego tracisz siły na nurtującą cię złość i wysilasz gębę na przekleństwa, co w sumie stanowi poważny wysiłek i przywieźć może człowieka do utraty zmysłów. Żołnierz staje się gderliwym, o byle co wybuchają swary...

Pociechą dla nas wśród tych przyjemnych marszów był tylko jeden dzień. Zobaczyliśmy „na własne oczy" naszą artylerję. Oj, zaczęliśmy wezbrane już żółcią serca wylewać na głowy Bogu ducha winnych artylerzystów. Bo też pożal się Boże, armacięta, zaprzężone w dwie lub zdaje się nawet, trzy pary koni, wyglądały jak małe pieski, ciągnione przez słonie. Piechur był zdania, że bylejaki artylerzysta, kopnąwszy w „działo", mógł spowodować jego saltomortale, a już najwięcej śmiechu budziła gęsta i ważna mina artylerzystów, tkwiących na koniach. Działka te brały udział w niżej opisanej bitwie i nieźle się w niej sprawiły. Żywot ich nie sięgnął dalej, jak poza bitwę pod Krzywopłotami. Wystrzelano w niej wszystkie pociski, które zatruwały nam dymnym prochem powietrze. Pocisków nowych do tego rodzaju broni już nie wyrabiano, gdyż działek tych poważnie w nowoczesnej wojnie nie brano. Przysłowie mówi, że darowanemu koniowi nie należy zaglądać w zęby, przeto prezent z wdzięcznością przyjął dowódca Brzoza.

Nareszcie dobrnęliśmy do Krzywopłotów. Rozkwaterowanie było wspaniałe! Zatrzymaliśmy się w lasku, oddzielającym wieś Krzywopłoty od wsi Załęże. Gdy się weźmie pod uwagę, że to był koniec października 1914 r., to zrozumieć łatwo, że przestrzeni mieliśmy dość, ale trochę więcej ciepła nie zaszkodziłoby wiarze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STEFAN OGONOWSKI.

Narodziny Czynu.

Duma o Hetmanie.

Józefowi Piłsudskiemu.

PRZYSIĘGA.

Wojna!
Wojna, o którą prosił Wieszcz w modlitwie.
Wojna! Wojna!
I jak ongiś w Litwie,
Gdy był rok tysiąc osiemset dwunasty,
Tak w roku tysiąc dziewięćset czternastym
Nie było kąta ziemi w świecie całym,
Gdzieby odgłosy jej nie doleciały.

— — — — — — — — — — —

Zadrżała Europa w posadach
I nastał chaos i lęk;
Wielu wołało: biada!
Wołaniom wtórował ich jęk...

— — — — — — — — — — —

A w naszym polskim kraju
Pobudkę jakąś grają...
Cudną pobudkę — bo jej nuta
Z rycerskich, polskich dum wysnuta...
Dziwną pobudkę — bo jej ton
Głośniejszy, niż Zygmunta dzwon:

Na bój! Na bój! Na bój!
Resztę losom zdać!
Na bój!

Pod wicher sztandary wznieść!
Zaprzestać mącić narodową kadź!
Że „nie zginęła!" w świat wpierw posłać wieść!
I mimo losu tylokrotnych drwin
Marzenie oblec w Czyn!
Wprząc ducha w trud i znój!
Na bój!

— — — — — — — — — — —

I oto kędy lśni się Wisły wstęga,
Gdzie się przegląda Wawel w srebrnych toniach,
Tam, na krakowskich błoniach,
Z godnością apostolską
Rota przysięga:
Polsko!
Wobec Boga i Narodu
Przysięgamy Ci
Z naszych serc powłokę lodu
Skruszyć wśród tych dni.
Skruszyć lód obojętności,
Ognia wzniecić żar,
Polski naszej żar miłości,
Czynów, dum i wiar.

NARODZINY CZYNU.

Przebrzmiały słowa przysięgi.
Dziś trzeba spełnić ślub.
Dość wyczekiwań, mitręgi,
Dość przygotowań i prób.
Do najwyższej potęgi
Wznieś ducha, wolę skup!

Jak dziś, pół wieku temu,
Warszawo, płocha Warszawo,
Podobna do Jeruzalemu,
Patrzyłaś na Golgotę krwawą;
Przez pryzmat łzą zaszłych źrenic,
Widziałaś pięć szubienic.
Niepomnaś? Zbladłej historji karty
Czytelne nawet dla ślepych?
Był rok sześćdziesiąty czwarty.
Pamiętna data!
Jak dziś swój cały przepych
Lata
Nad światem roztoczył sierpień...

Dość, dość już cierpień!
Dość pustych słów,
Złudnych miraży!
Trzeba wstać,
Trzeba się do rzeczy brać,
Bo oto znów,
Znów słychać dźwięk tej harfy cudu,
O którym z nas,
Któż z nas nie marzył.
Dziś czas,
Czas nam wstać,
Do trudu!
Nie pełzać jako węże,
Lub smętnie wytężać słuch,
Skąd wicher zacznie wiać,
Lecz zacząć ruch!
Z serc trupich robak się lęże.
Dziś czas nam wstać,
W jedności trwać,
I bić i kuć oręże!

Rozkaz padł,
Rozkaz-Słowo, Słowo-Moc.

Już zbladł,
Słoneczny, jasny dzień.
Noc
Przyoblekła świat
W swój czarny płaszcz.
Ciszę
Gwiezdnych lśnień,
Przerywa tylko od czasu do czasu
Szum lasów,



Na poleskich bagnach. Fot. ob. Szczurek.

Lub nadwiślański chaszcz,
Którym wiatr kołysze...

Cyt...
Powstaje mit.
Serce drży.
Nie sny to, nie sny...
Nie romantyczny zwid...
Powstaje mit.
Na słowo: W i e r z ę,
Budzą się śpiący rycerze...
Cyt...
Powstaje mit.
Silniejszy nad przemoc win
Rodzi się Czyn!
Dziś noc — jutro dzień,
Wielki dzień!
Przede dniem świt!

Zamajaczył szary cień
Jeden, drugi...
Ktoś ty, ktoś ty, ktoś ty cieniu?
Już tych cieni rząd długi
Świetlane rzuca smugi.
Czy to szept, czy liści szum?
Stają w ciszy i skupieniu.
Ktoś Ty, ktoś Ty, ktoś Ty, Cieniu?
Czy to szept, czy liści szum?

— Konrad, Kordjan, Irydjon,
Odrodzony Anhelli,
Legio sum!
Legjon mścicieli,
Chociaż burza w sercu wre,
Nie zdradą, nie perfidją,
Nie, by się tylko mścić
Za krzywd i mąk przeżytych dnie,
Lecz gdy burza, wicher dmie,

Czas nam wstać,
Więzy rwać,
Wolnymi być
I żyć, i żyć, i żyć!

Baczność! Na ramię broń!
Naprzód — marsz!

Sława liściem wawrzynu
Zdobi każdą skroń
Jasną.
Gwiazdy, jak oczy w łzach, gasną.
Ktoś w ciszy nocnej miast, sioła,
Za każdym cieniem woła:
Synu! Synu! Synu!

Czy to czar,
Czy pochód mar?
Ta komenda?
O narodzinach Czynu,
Dziś mit
I zbyt
Prawdziwa legenda.

Wywiódł Go z domu niewoli,
Pospolitości, szarzyzny,
Duch, co w sobie zespolił
Męstwo i Miłość Ojczyzny.

Nie w mundurów przepychu,
Bez wtóru fanfar i trąb,
W noc sierpniową i cichą,
W dziejowych zdarzeń szedł głąb.

Nie dla chciwej łupieży,
Nie dla parady, ni szarż,
Śladem dawnych rycerzy,
Bojowy rozpoczął swój marsz.

Cyt...
Powstaje cudny mit,
Rapsod, rycerska ballada.
Okrzyk się z piersi zrywa:
Świt! Świt!
„My pierwsza brygada...“

— — — — — — — — —

O, chwilo, chwilo szczęśliwa ! !

WOJCIECHOWSKI FELIKS.

Wigilja w Mandżurji.

(Wspomnienia z dalekiej tułaczki).

Cichy, prawie wiosenny dzień. Słońce łagodną pieszczotą weseli cudze, dalekie miasto. Jest 24 grudnia 1917. W żołnierskich mundurach, wschodnich formacyj legjonowych w sali hotelu w Charbinie, siedzi nas pięciu... Zbytek srebrem haftowanych orłów, pasy John Pounr et Co, London, wreszcie ostrogi, wskazują na „znaczne persony". Tak, gdyż jesteśmy sztabem korpusu polskiego, który organizowany przez podpułkownika Tadeusza M. w jednem z miast rosyjskich nad Wołgą, nigdy nie przekroczył liczby 300 ludzi, a dowódca postawił sobie i wojsku za zadanie iść na Moskwę i tam zejść się z I. Brygadą, która miała nadciągnąć od Zachodu. Od trzech tygodni podzielamy los innych oddziałów polskich, które z bronią w ręku i z narodowemi sztandarami z płótna, przedarły się na Daleki Wschód, gdzie oddały się do dyspozycji francuskiej Wojennej Misji morskiej w Shanghaiu.

Dowódca z właściwym mu zapałem porwał na nową tułaczkę 47 żołnierzy, 6 oficerów, 4 polskie siostry miłosierdzia, żonatego kapitana z całą rodziną, żoną, młodziutką dziedziczką z Radomskiego, z matką i z synkiem, maszynę do pisania „Adler", 50 karabinów i jeden maszynowy. Jego nadludzkiej energji przypisać należy, iż całe to towarzystwo bez większych starć przejechało w 25 dniach przestrzeń 8 tys. km. przy pełnej dezorganizacji kolejnictwa, strajków i wśród ogólnego buntu wrogiego żołnierstwa rosyjskiego. — Tak myśleliśmy. — Xenofontowy ten marsz, jak lubił nazywać Tadzio tę pełną przygód podróż, wynagrodził mu smutek ciężkich zawodów przy niepowodzeniach organizacji Wojska Polskiego.

Pomyślnie załatwił sprawy z misją francuską. Żołnierze zostali przyjęci na etat misji, niektórzy objęli tymczasowe posady. Siostry miłosierdzia otrzymały pobory według norm oficerskich. Sztab jednogłośnie postanowił zrzec się zaliczek francuskich i w oczekiwaniu dyspozycji pozostawać na wolnej stopie. Właśnie dowódca z powagą podpisał sześciotygodniowe urlopy. Na porządku dziennym sprawa wspólnej wigilji. Nim przyszliśmy do tego ostatniego punktu, Tadek poraz setny rzuca na stół dyskusję nad tematem, dlaczego nie powiodła się nietrudna praca nad organizacją Wojska Polskiego w Rosji. Dowódca korpusu wini bunt rosyjski i wysuwa teorję terytorjalną. Wojsko może być stworzone w Polsce. Poraz setny w duchu przyznaję mu słuszność, lecz biję go argumentami 1831 r., potrzebny jest wódz, delikatnym przytykiem zaczepiam jego osobę. Otrzymuję komplement w rodzaju, iż nie danem jest austrjackiemu plutonowemu myśleć kategorjami napoleońskiemi, dalej, ulotnem jest moje „p. o. szefostwo sztabu", wkrótce przejdę do intendantury. Koledzy podsuwają kompromis, iż do stworzenia wojska potrzeba bardzo wiele i terytorjalnych i personalnych danych. Wrzawa dyskusji, w której zabierają głos wszyscy równocześnie, zwolna przycicha.

Za szybą płynie gwarna, różnobarwna i różnorodna rzeka ludzi. Chińczycy, Mandżurzy, Korejczycy, stanowią tłum tubylczy, wśród którego przewijają się zgrabnie Japończycy. Czasem błyśnie niebieski płaszcz Burjata. Drobią w przesadnie ścieśnionych sandałkach z wysokiemi fryzurami Japonki o ślicznych twarzyczkach i w czarnych spodenkach Chinki. Gwardyjskie mundury oficerów rosyjskich, z emblematami obalonego caratu, roztrącają azjatycki tłum, który odgryza się w niepraktykowany dotąd sposób. Wiedzą Azjaci, iż gwardyjskie złoto mundurów wkrótce przejdzie do muzeów. Władcy świata, Europejczycy wspaniali panowie i świetne panie mkną w powozach i samochodach. Ćmierćmiljonowe miasto, zbudowane z nad-amerykańską szybkością, pałacomanja żółtych i szaro-zielonawych brzydactw-domów, browarów, gorzelni, cegielni, cudaczny stepowy Berlino-Berdyczów, wydaje się nam ostatnim cudem świata po rozwalonych, spalonych, wyszrapnelowanych, i krwią zachlastanych miastach rosyjskich. — Przebaczamy temu miastu walące się marmury z polakierowanego gipsu, niedopasowane, dęte bronzy z blachy pozłoconej, gdyż stosunkowo niedaleko na południu zaczyna się kultura angielskich miast kolonjalnych, tam króluje Londyn Dalekiego Wschodu — Shang-hai. Tymczasem sypie się na nas farba gobelinów i złoto ornamentów. W przyległym gabinecie zajętym przez wysznurowanych oficerów żandarmerji i wojsk ochrony Kolei Wschodnio-chińskiej, podziwiamy piękne malowidła i tapety morelkowego pokoju. Wąskie i długie obrazy są kapitalne. Łabędź ze



Ś. p. generał broni, Zygmunt Zieliński w okopach.
Ze zbiorów ks. Wawro.

złotym dziobem i złotemi ostrogami krzywdzi tęgą i rudą Marusię, niby Ledę. Leda znudzona ziewa i gryzie „siemioczki". Obok niebotycznie wysoki car Aleksander II. w mundurze atamana kozaków w pałąk zgiętym muzykom odczytuje manifest o oswobodzeniu. Dalej zły byk porywa Europę. Na szerokim grzbiecie buhaja, wygodnie, jak na kanapie leży dobrze zbudowana, naga dama i z pytającym wyrazem buzi oczekuje rozwoju dalszych wypadków. W sąsiedztwie car Mikołaj II. jako następca tronu wbija łopatę pod budowę magistrali syberyjskiej. Car jest smętnie zapatrzony w dal ultramarynowego morza, w którem pławi się mużyk, brodaty Neptun z potwornym brzuchem, a syreny pokazują carowi końskich rozmiarów dalsze, odwrotne strony. Dalej nic, gdyż w kącie wisi ikona. Odgadujemy alegorje. Pierwszy obraz oznacza prawdopodobnie bogactwo kraju, gdzie każdy figlarz może pozwolić sobie na łabędzi kostjum z dodatkami dukatowego złota. Car z mużykami, to rozczulająca do łez, anielska dobroć ruskich carów i patrjarchalna łączność cara z narodem i narodu z carem. Porwanie Europy, to porwanie cywilizacji i ulokowanie jej na dobrej i stałej posadzie między Uralem i Port Arturem. Syreny czyniące apetyczny afront carowi, reprezentują Daleki Wschód i wymarzone, niezamarzające morza, mówiąc: „Żegnaj na zawsze, tu będzie panował inny sąsiad". Interpretacja trochę nieścisła, gdyż wieść niesie i w książkach piszą, iż syreny Dalekiego Wschodu Japonki i Chinki są miłych, lecz filigranowych kształtów. Ikona oznacza zawsze prawosławną pobożność.

Charbin jest przemiłe i bardzo ciekawe miasto. Dziś jednak bawi nas mniej. Przechodzimy do sprawy wspólnej wigilji. Janek prowadzi odległe pertraktacje z siostrami miłosierdzia. Siedzą w swojem mieszkaniu i nie chcą przyjść do nas. Szelmiutki, zawsze niewinne, nie mogą siedzieć w lokalu, gdzie rosyjscy oficerowie skandalą się z przyjezdnemi kokotami. Wkrótce układy zerwały się. Janek postawił dziewczątkom strategiczny projekt spędzenia czasu. Otrzymuję misję naprawienia stosunków. Idę i po godzinnej ożywionej „unisono" dyskusji, w której mnie udzielono dwa razy głosu po dwie minuty, przekonuję koleżanki starem, iż Janek nie myślał o tem, o czem panie myślą. Wracam. Dzień przechylił się w drażniące, późne popołudnie.

W milczeniu czytamy gazety i popadamy w bezdomną, tłumaczą martwotę. Niema Polski, Naczelny Wódz zamknięty w Magdeburgu, niema Wojska, Niemcy na szczycie potęgi.

Godzinę czarnych myśli przerywa grupa Polaków z miejscowej kolonji. Dalekim akcentem składa życzenia, poparte bielą opłatków. Zrywamy się. Tadek zapala tłum, padają słowa: Rodacy! Chociaż Naczelny Wódz więźniem w rawelinach Magdeburga, w czasie, gdy Polską włada najsilniejszy wróg, dolatuje nas tajemny głos, trwajcie! i t. d., kończy okrzykiem: Polska, Naczelny Wódz, Niech żyje! Wieczorne przestworza Dalekiej Mandżurji rozdziera grom! Niech żyją. Suną do nas z uściskami i życzą, na przyszły rok wigilję w Wolnej, Zjednoczonej. Chłopcy, dziewczątka, narzucają swoje dziwnie małe, zimne rączki. Starzy zapraszają do siebie na Wigilję. — Uprzejmie odmówił Tadek. Przypomniał sobie, dziś zapraszają, jutro będą zjadliwie rozbijać wojsko, raz z prawej, drugi raz z lewej, a czasem, razem w przymierzu. Rzuca projekt wigilji w „Świątyni Sybilli", tak nazywał dom polskiej rodziny P. R.

Szybko załatwił potrzebne formalności, zabieramy siostry miłosierdzia i wkrótce objuczonych pakunkami i sprawunkami owiewa dawno zapomniana atmosfera polskiego domu, roześmianego radością wigilji. Miły nastrój przystani przeciągnął się do późnej nocy. Siostry zostały, my wychodzimy. Krokami mierzymy ciemności nocy. Przerywam ciszę, teraz druga, odliczyć siedm godzin, w Polsce siódma wieczorem. Zaraz zaczną tam smutną wigilję. Janek drażni, starzy pozgrzędzą w dalekiej Warszawie na ciężkie czasy, zakolendują i poważnie pójdą na pasterkę. Przerwał sentymntalny Tadek. Idziemy! Długo, długo w chińską noc. Niema miasta, tylko długa, wyboista droga. Miarowe uderzenia kroków i brzęk ostróg. Migają biedne, ciemne fanzy. Może nas prowadzi do Moskwy na spotkanie z I. Brygadą, a może miniemy Moskwę i na Święta zdążymy do Polski. Wówczas nie zdążyliśmy.

Droga zgubiła się w resztkach zeschłego gaolanu i zaczął szarzeć dzień. Wracamy do miasta. Od strony krainy „Wschodzącego słońca" dźwigało się pogodne słońce. Idziemy w stronę stacji. Nowa radość, nadjechał transport legjonowej kawalerji. Lśni orłami, malinowemi barwami, srebrnemi szabliskami i zdrowiem.

Na dodatek nowina, przed tygodniem jeden z emisarjuszów peowiackich, czuwających nad transportem oddziałów na Wschód, pędzący na drezynie, podrzucił ułanom ulotkę: Leguny wykradli Piłsudskiego z Magdeburga, już jest na Krymie, organizuje armję. Zaczęły się wspaniałe święta Bożego Narodzenia. Chociaż później dowiedzieliśmy się, iż wiadomość tę zmyśliła Komenda POW., aby podnieść ducha oddziałów, często nawracamy wspomnienia w te radosne dni.

Później dowiedzieliśmy się, kto był ten Tytaniczny Mózg-Talent, który zamknięty w rawelinach Magdeburga zarzucił sieci na cały świat. Pracowała niewidoczna, a sprawna maszynerja, która wiodła żołnierza poprzez zimy Syberji, mobilizowała polskie brygady kolejowe, padające ze znużenia, a prące skrzypiącemi lokomotywami na Wschód. Jacyś zczerniali robociarze na zaułkach stacji, zestawiali pociągi, przeprowadzali przez zakorkowane buntem i strajkiem stacje. Na długich postojach, w zimowe noce syberyjskie, jakieś wychudłe panie z błyszczącemi oczami, w chustki otulone, niemal nabijały się na wartujące bagnety, przynosiły bieliznę, żywność, książki i lekarstwa. Pracowała niewidoczna organizacja, gdy żołnierz rwał do Polski, tak sprawnie, iż zdążył na Wigilję i na Święta.

Pierwszy Nowy Rok na froncie.

Rałajłowa, 1 stycznia 1925 r.

Nowy Rok przechodzi sobie obok nas z jakąś obojętnością i nie przynosi nam żadnej nowości. Zresztą dla ludzi wyzutych z myśli i woli nic nowego nie może istnieć na świecie.

W czasie Sylwestra, po powrocie z patrolu, przy kociołkach z winem i manierkach z rumem, wytworzył się w naszej budzie jakiś patrjotyczno-pijacko-tęskliwy nastrój. Zaczęły się śpiewy, śmiechy, wice i pobijania bez patyka. Po chwili wrzawy, ci, którzy mieli pieniądze, zaczęli grać w ferbla, a gołota dla rozweselenia ducha zaczęła grać w „d......", aż dudniało po izbisku.

Nasza mentalność zwężyła się do kilku źdźbeł siana, okręconych wokół pucsztoka, zwanego rozkazem. Bohaterstwo nasze w tej chwili nie jest bohaterstwem, lecz bezdenną głupotą. Cały wysiłek umysłowy biednego piechura ma dzisiaj przed sobą tylko jeden cel i to negatywny, nie stać nikomu na drodze i nie nadstawiać gęby tam, gdzie nie trzeba. Poza tem nie interesują nas w tej chwili żadne ideały, ani rojenia o lepszej przyszłości. Marzenia o wojsku polskiem i o wyjeździe do Królestwa już nas odpadły. Zresztą my od trzech miesięcy nic nie wiemy, co się dzieje w tamtych stronach.

Nasz światopogląd ukształtował się wokół kilku „bąków" austrjackich, noszonych z paradą na sztywnych czapach. Bawią nas jedynie opowiadania o różnych wielkościach legjonowo-austrjackich. Największym człowiekiem ma być podobno dla nas oficjalny komendant Legjonów gen Durski. Wiara wyobraża go sobie, leżącego na pryczy i pociągającego bez przerwy za pośrednictwem gumowego węża rum z beczki, która stoi pod pryczą, podczas gdy cały sztab z ordynansami przyśpiewuje mu chórem uświęcony refren:

— Daj mu rumu!

Od czasu do czasu przesuwa się przed naszemi oczyma postać komendanta grupy ppłk. H. Jego czapa austrjacka budzi postrach i kpiny. Jedni powiadają, że jest to opatrznościowy i świątobliwy człowiek, a inni, że to zwyczajny „trep", który w czasie służby w wojsku austrjackiem szykanował Polaków ile mu się tylko dało. Z majorem R. podobno się nie kochają. To już dla nas wystarczy.

Zato lubimy majora R. za jego kanciastą rogatywkę, za ostre słowo i dobre serce. Najbardziej nam imponuje jego zawadjacka postawa wobec wyższych dygnitarzy austrjackich. Ma on też swoje figle; lubi kropnąć czasami w mordę, lecz jak kropnie kogoś, to już takiego, co ma pysk ku temu, i któremu to wychodzi na zdrowie, jak kichanie z tabaki. Zresztą nikt przed nim nie ucieka, nikt się go nie boi. Dla żołnierza, stojącego na posterunku lub na wedecie, ma nietylko dobre słowo, ale i garść papierosów lub tabliczkę czekolady. Ma swoją własną terminologję, którą trzeba rozumieć; n. p. gdy woła: „Chodź tu dziecko!" — to lepiej nie iść, bo marny los; gdy woła: „Chodź tu sk...synku!" — to można iść śmiało i spodziewać się czegoś dobrego.

Taka więc mizerja duchowa panuje tutaj. Jednostajność wypadków obudziła w nas instynkt samozachowawczy. Rzadko kto pozuje na bohatera. Zapas odwagi zmalał. Naogół odzwyczailiśmy się od strzałów.

W Sylwestra koło południa wysłano nas na patrol, ponieważ bohaterzy z komendy grupy wyrazili życzenie, ażeby im złapać Moskala na Nowy Rok. Jakżeż takiemu życzeniu nie uczynić zadość? Ruszyły dwa patrole w stronę Zielonej po obu stronach Bystrzycy. Patrol, idący po lewej stronie Bystrzycy, prowadził zuchowaty kapral J. Ja szedłem z patrolem po prawej stronie rzeki pod dowództwem kaprala R..., który jest stale odważnym i nieposkromionym ideowcem, ale pozatem jest to chłop z wiary.

Przewiesiwszy karabiny przez ramię, ruszyliśmy w milczeniu; ktoś tylko pomrukiwał od czasu do czasu: „Nasz komendant chłop morowy!". Jednem słowem, nie braliśmy tej awantury tak na serjo, jak kapral, na którym ciążyła cała odpowiedzialność za tę imprezę. Po przejściu linji placówek, posuwaliśmy się lasem, brodząc po pępek w zaspach śnieżnych. Wlekliśmy się powoli, wąchając na prawo i lewo i oglądając się wtył, ażeby nie odejść za daleko. Kapral rwał naprzód, jak z wiatrakiem, wkręconym do brzucha, gdyż chciał postawić na swojem i zdobyć sto koron, które wyznaczono jako premję za przyprowadzenie jeńca. Tymczasem nam się całkiem nie spieszyło i opóźnialiśmy marsz, wywracając się po dołach i wądołach.

Mieliśmy za zadanie współdziałać z patrolem, idącym po lewej stronie Bystrzycy. Dowlekliśmy się do miejsca, skąd było widać leśniczówkę Hołodyszcze. Kapral wlazł na jakiś chojak i obserwował w naprężeniu. My znów posiadaliśmy na śniegu i za-



Przy ognisku w zimie.

Według rysunku Fr. Zaciechowskiego

częliśmy psioczyć na wszelkie kombinacje wojskowe. Po chwili w lesie obok leśniczówki zahuczała gwałtowna strzelanina. Kilkanaście kul świsnęło nad nami i paknęło w zmarznięte drzewa. Kapral zleciał z chojaka na śnieg i krzyknął:

— Naprzód!

— Gadaj do bani! — mruknął ktoś pod nosem.

Jak na komendę zawróciliśmy wtył i nie zatrzymaliśmy się aż w dolinie, gdzie już było zupełnie bezpiecznie. Odzwyczailiśmy się od strzałów. Zresztą byłoby idjotyzmem dać się zabić w Sylwestra za wątpliwe sto koron, gdy się przeżyło jako tako cały rok. Kapral, zostawszy sam, musiał zawrócić. Znalazł nas siedzących w potoku i opowiadających sobie bajki. Był zły i nic nie gadał. Wróciliśmy bez humoru do domu.

Tymczasem drugi patrol miał lepsze szczęście, bo rzeczywiście przyprowadził Moskala, który coprawda sam do patroli przyleciał bez karabinu — ale zawsze był to sukces i sto koron.

Dr. ADAM GADOMSKI.

W stulecie zdobycia Algeru przez Francję.

W roku 1930 przypada obchód stuletniej rocznicy zdobycia Algeru, tej najwspanialszej perły licznych kolonij afrykańskich Francji, a cała Algerja przygotowuje się gorączkowo do obchodów i uroczyści, które ściągną do północnej Afryki tysiączne rzesze turystów. Należy tu dodać odrazu, iż Algerja jest jedną z nielicznych kolonij francuskich, które swej macierzy, miast deficytu, jak inne kolonje, przynosi 180 miljonów franków czystego dochodu, a w czasie wojny światowej, jako główna kolonja „Afrykańskiego Bloku francuskiego", dostarczyła największą ilość czarnego i berberyjskiego rekruta, dzięki któremu Francja mogła utrzymać swój zachodni front wojny europejskiej pod coraz to nowemi atakami niemieckiemi.

Ów Afrykański Blok francuski, obejmując Afrykę północną (t. j. Algerję, Tunis i Marokko), dalej Afrykę zachodnią i równikową — pokrywa powierzchnię 10 miljonów kilometrów kwadratowych w jednej zwartej całości, równającej się powierzchni całej Europy wraz z Rosją Do roku 1830 stanowił Alger samodzielne korsarskie państwo mahometańskie, znajdujące się od wielu lat w ustawicznych zatargach dyplomatycznych z Francją, głównie z powodu algerskiego korsarstwa, oraz handlu białymi niewolnikami. Do roku 1830 na placach publicznych portowych miast algerskich zupełnie oficjalnie sprzedawano licznych europejskich jeńców, pochodzących z ofiar korsarskich napadów algerskich, a cyfra tego przerażającego handlu wynosiła rocznie kilkanaście tysięcy osób. Sam akt wojenny francusko-algerski rozpoczął się od niebywałego w dziejach dyplomacji faktu, gdy władca Algerji „Dej Hussein", zniecierpliwiony zuchwałością francuskiego konsula generalnego, uderzył w twarz reprezentanta Francji oganiaczką od much. Do dziś w pałacu dejowskim przewodnicy pokazują ową historyczną salę, która zyskała odtąd miano „sali wachlarza", a stało się to powodem dla niedługo mającej nastąpić utraty niepodległości wolnego państwa algerskiego. Wskutek bowiem tego faktu, francuski generał Bourmont, na czele korpusu 42.000 ludzi, wylądował na półwyspie Sidi Ferruk, rozgromił (19 czerwca 1830) janczarów Husseina pod Staneli, a 4 lipca 1830 r. po czterodniowem bombardowaniu, zajął cesarski zamek w Algerze. Dnia 5-go lipca Alger poddał się, a Dej-Hussein wyjechał do Neapolu. Ogromne łupy wpadły w ręce zwycięzców w tem gnieździe korsarstwa; między innemi także skarb państwa, w którym jeszcze leżało 48 miljonów franków. Mimo jednak tego świetnego zwycięstwa francuskiego, nie poprawiło się położenie rządu francuskiego Karola X-go i jego Premjera Polignaca, który spodziewał się, że pod wrażeniem zwycięstwa algerskiego nowe wybory do parlamentu będą pomyślne dla rządu. Było to tylko złudzenie: opozycja w nowej Izbie urosła do liczby 272 głosów, a król jednak nie godził się na najmniejsze ustępstwa, a na posiedzeniu rady ministrów 25 lipca, Karol X-ty podpisał akt ordonansów, na podstawie 14 artykułu konstytucji, która uprawniała go do wykonania praw i bezpieczeństwa państwa. W związku z tym aktem rozwiązano Izbę i zarządzono nowe wybory, wolność prasy uległa zawieszeniu, a zwycięskiemu rządowi po algerskich sukcesach wydawało się, że odniósł nowe zwycięstwo wewnętrzne.

Tymczasem w środę 28 lipca wybuchła w Paryżu rewolucja lipcowa, która obaliła rząd Karola X-go, a wyniosła po abdykacji króla, mieszczański rząd Ludwika Filipa. Ta rewolucja lipcowa, związana ściśle z wypadkami algerskiemi, była jednak narodowem nieszczęściem Francji, a odpowiedzialność za wybuch takowej spada na rozagitowane tłumy paryskich studentów i robotników, którzy ją wywołali, mimo sukcesu rządu francuskiego, odniesionego w Algerji.

Przewrót lipcowy podkopał bowiem ufność w spokojny rozwój kraju; nastały czasy panowania frazesu, walki o wpływ polityczny i zyski materjalne. Ale na całym obszarze Europy rewolucja lipcowa odbiła się echem radosnem, ludy czuły, że ciemna moc świętego przymierza Rosji, Prus i Austrji chyli się do upadku i że w oddali świta już wiosna narodów z roku 1848. Po rewolucji bowiem lipcowej wybuchła w siepniu rewolucja w Belgji, która doprowadziła do wyzwolenia tego kraju z pod rządów holenderskich, wreszcie ostatnim echem paryskiej rewolucji lipcowej było powstanie w Królestwie Polskiem, które wybuchło w Warsza-



Uczestnicy Walnego Zgromadzenia krakowskiego Koła Stowarzyszenia Rezerwistów i Byłych Wojskowych, które się odbyło na Wawelu dnia 1-go grudnia 1929 r. Fot. St. Mucha.

wie w nocy z 29 na 30 listopada 1830 r., objęło ziemie całej Polski, wywołało krwawą wojnę, która pomimo zapału i męstwa wojska polskiego, skończyła się dla Polaków nieszczęśliwie, a której splot, wiążąc się ściśle z rewolucją lipcową, wiąże się pośrednio z wypadkami algerskiemi.

Obecnie w stulecie „Powstania Listopadowego" oraz w stulecie „Zdobycia Algeru", możemy pod pryzmatem historji, rozstrzygnąć oba zdarzenia wielkiej doniosłości, a częściowo ze sobą powiązane. Wojna bowiem algerska oraz lipcowa rewolucja francuska nie pozwoliły Francji na silniejsze poparcie sprawy polskiej, a z drugiej strony powstanie listopadowe polskie, które swym wybuchem na cały rok krwawej wojny związało potężną militarnie Rosję, nie pozwoliło tejże zbytnio zajmować się wolnościowemi ruchami Francji rewolucji lipcowej oraz jej wojną algerską. Dalej powstanie listopadowe polskie zaniepokoiło mocno Prusy i Austrję, a więc całe święte przymierze i nie pozwoliło mu na wtrącanie się w sprawy francuskie w Algerze, jak to n. p. uczyniły po roku 1870 Niemcy w sprawie Kameruńskiej, gdy pobrzękując szablą i dumne po odniesieniu zwycięstwa we Francji, wymogły na tejże zrzeczenie się na rzecz Niemiec wszelkich praw do Kamerunu afrykańskiego (odkrytego, jak wiadomo przez Polaka kapitana Rogozińskiego, który po początkowem wywieszeniu flagi polskiej na Kamerunie, jako niepodległej polskiej kolonji, wobec nacisku pancernika niemieckiego, oddał się pod opiekę Francji i tejże przez siebie kraj odkryty oddał). To samo wtrącanie się Niemiec w sprawy afrykańskie Francji powtórzyło się jeszcze przed wojną światową w kwestji marokańskiej, gdy znowu Niemcy wysyłając flotę wojenną do Agadiru, wymogły w zupełnie bezczelny sposób ustępstwa francuskie kolonjalne w Afryce na rzecz Niemiec. Otóż powstanie listopadowe 1830 r., pozwoliło Francji bez obcej interwencji, mimo zamieszek w kraju i rewolucji lipcowej, przeprowadzić w całości swój afrykański plan kolonjalny. Rząd bowiem lipcowej rewolucji, a więc Ludwika Filipa, nie spuścił też z oka Algeru, zdobytego przez Burbonów i prowadził dalej wojnę zdobywczą w latach po roku 1830. Otóż w tych dalszych walkach w Algerji, wzięły również udział rozbitki wojska polskiego po nieszczęśliwej wojnie r. 1830 31 i odtąd zaczęła się bardzo dla Polaków chlubna tradycja służby w „Legji Cudzoziemskiej", w której po dziś dzień służą liczni Polacy, niosąc w ten sposób dzieło cywilizacji Afryki przez Francję w głąb lądu czarnego.

(Dokończenie nastąpi).

TADEUSZ ORSZA.

Preludjum Szopena.

(NOWELA).

II.

Z pewną dumą dorzucił głośniej:

— A zaręczam pani, że to bardzo interesująca rzecz być biednym, w tych nawet chwilach, gdy się myśli, że człowiek ponad śnieg bielszym się stanie...

Spojrzała nań i dwie duże łzy zalały jej oczy. Chwyciła go za rękę i silnie zaciskając, rzekła:

— Nie zginiesz! Będziesz silnym i zdobędziesz ten świat, jakiś sobie wymarzył. Ja będę się modliła. Ja biedniejszą jestem od ciebie...

Stanęli — byli już za rogatkami starego miasta — hen w polach.

Pochwycił skwapliwie jej drobne dłonie i całując, szeptał:

— Jakaś dobra — pani — —

Patrzał w nią teraz z dziwnem uczuciem w swem sercu i chłonął w siebie tę anielską błogość, jaką mu przyniosło jej spojrzenie.

Oczy ich, splecione wspólną łzą rozrzewnienia, nie potrafiły się już odczepić i mówiły o czemś... o czem marzyli może nieraz nieśmiało...

— Chodźmy tam — wyrzekła, wskazując na grupkę krzewów i drzew.

Szli i przywarli jakoś do siebie ramionami, chłostani wiatrem, który szedł wprost na ich rozgorączkowane twarze.

— Dziś jakaś dziwna siła wstępuje we mnie i nie wiem komu mam ją zawdzięczać. Jestem biedny, ale wolę to, niż tułać się i ślizgać po salonach w błędnem kole manekinów, półgłówków, dorobkiewiczów — wśród rzęsistego światła nudów i płytkości... Dziś bieda, borykanie się, powiedzmy nędza, odkryły mi wielką prawdę, gdzie i w czem trzeba zdobywać ten spokój ducha, który jest podstawą szczęśliwości na ziemi.

— A czy ma pan lekcje? z czego pan żyje? — pytając spoglądała na niego, ale takiemi oczyma dobremi, jak nikt dotychczas na świecie.

— Tak, lekcje mam tylko dwie, któremi opłacam mieszkanie, wpisy, a na wyżywienie już nie wystarczy. No i nie mam pojęcia, z czego żyć będę dziś, jutro... Wiem tylko, jak przebyłem ostatnie trzy tygodnie. Ileż razy przesypiałem głód?

— Ja jestem sierotą. Po śmierci matki musiałam przerwać naukę i za resztę pozostałych pieniędzy kupiłam maszynę i szyję — szyję — szyję — w dzień i w nocy, by żyć i by kiedyś umrzeć...

Owróciła twarz, gdyż łzy zalewały jej lica.

Opanowała się i rzekła serdecznie i stanowczo.

— Ale — jutro będzie pan już jadł tam, gdzie i ja.

— Jakto? nie rozumię — patrzył na nią zdziwiony.

— Niech się pan nie lęka. Odda mi to pan z procentem po egzaminie. To, co zarabiam, wystarczy dla nas.

Oblał się szkarłatem aż po same uszy.

— Wybaczy pani, ale z dobrego jej serca nawet nie mogę...

— Nic nie mogę! Tak być powinno, tak być musi. Jeżeli tylko jest pan szczerym i bratnią mi duszą....

— Nie mogę! Przenigdy!...

— Rozumiem pana. Jesteś mężczyzną...

— Zmrok idzie! Wracajmy do miasta!

Słońca już nie było, tylko czerwień w róż się przelała i roztoczyła liljowość zmroku. Wstali pospiesznie i szybko zeszli nadół do gościńca, byle jak najprędzej dostać się do miasta. Po jakimś czasie zatrzymali się przed wielkim starym domem.

— Dam panu pracę, jeżeli pan się zgodzi...

— Jaką? owszem — proszę.

— To ja pobiegnę na górkę, do siebie — i zaraz odwróciła się prędko. — Ale prawda, już ciemno... Możeby pan wstąpił... albo, czy ja wiem...

— Jeżeli pani pozwoli, to wstąpię.

Pięli się po ciemnych schodach starej sieni majestatycznie obwieszonej pajęczyną. Otwarła drzwi i słaby promyk gasnącego dnia wcisnął się przez małe okno do wnętrza.

— Nie mam zapałek. Trzeba lampę zaświecić — gdzieś są na stole...

— Zaraz pani... już się zrobi światło.

Prawie jednocześnie wyciągnęli ręce po zapałki i dłonie ich zetknęły się.

Jakaś gorącość oblała im lica.

Pocałował jej małą rękę.

Zatrzepotała rzęsami, kilka razy otwarła i przymknęła usta, nim ciche zdławione słowa wybiegły.

— Co pan robi? Proszę świecić!

— Zaraz — niech pozbieram zapałki...

— To pan znalazł? A czemu pan nie świeci?

Zaświecił.

Słaby płomyk lampy naftowej oświetlił skromną izdebkę, ale dziwnie piękną i czystą. Bogactwem wnętrza było łóżko dziewczęce, błękitną kapką nakryte, moc kwiatów w doniczkach i maszyna pod oknem.

— Mam tu dla pana robotę, — to mówiąc, wydobyła z szafki zawiniątko, z którego wyjęła zeszyty i jakieś akta.

— Jak nie mam co szyć, to biorę od adwokata różne akta do przepisywania, coś wpłynie, to się uzbiera. Ja mam teraz nawał pracy. Niech pan to weźnie

i wieczorami przepisze i mnie tu pośle albo przyniesie, a będą pieniądze.

— Ależ, jakże ja mogę pani zabierać to źródło zarobku?

Byli sami, nieznani i nieśledzeni przez nikogo na tem poddaszu.

Załomotały ich serca...

Wziął ją za rękę i patrzył długo na szczupłą małą jej dłoń z palcami silnie i gęsto nakłutemi od igły i ustami lekko dotykając, szeptał:

— Ja kocham te rączyny, te ręce, kwiaty, które wydają owoc codziennej, żmudnej pracy... i kocham twe oczy, kocham cię — całą..

Potokiem płynęły mu skądś te wyrazy, gdzieś z głębi rozdygotanego serca. Przechyliła tak głowę, że dotknął jej twarzy, która zapachniała mu kwiatem. Zacisnął wargi, pasował się chwilę z sobą, wreszcie chwycił ją w silne ramiona i tuląc do piersi, całował oczy, usta...

— Nie! nic — wyszeptała i zbladła.

— Czy się mnie boisz?

— Nie...

Głowa jej zakołysała się. Szum w uszach ogłuszył ją zupełnie, a usta zbliżyły się ku sobie...

— Kocham cię... Wiedziałem, że przyjdziesz na drogę mego życia, że przyjdziesz z takiem kochaniem, przed którem mógłbym uklęknąć.

— Ja, biedna, takiej duszy łaknęłam, jak twoja, co się, jak kwiat do słońca otwiera,, co jak orzeł rwie się w obłoki.

Runął do jej nóg, całując drżące kolana i kraj jej biednej sukienki.

Oderwali się od siebie...

On wziął zwinięte w rulon papiery i szybko zbiegł po schodach na dół.

— — — — — — — — — — — — —

Ludzie, tłocząc się, czytali rozlepione odezwy na ulicach, wzywające do obrony stolicy Polski — Warszawy.

Gwar podniesionych głosów wrzał na ulicy i rozlewał się w powietrzu, jak fala wzbierających rzek podczas wylewu.

Wszyscy elegancko ubrani, myślący o tłustym i dobrym obiedzie i taniej zabawie, jakby osłupieli, pootwierali usta i patrzyli przed się zgłupiałym spojrzeniem zwierząt.

— Są już — prawie pod Warszawą!

— — — — — — — — — — — — —

Jego wzięto do oddziału, który za kilka godzin szedł na obronę Warszawy. Ubrany w mundur żołnierski, biegł szybko, by wpaść na chwilę do swego mieszkania i do ukochanej. Omijał ludzi wałęsających się i politykujących po kawiarniach i cukierniach. Biegł, spiesząc się, gdyż wiedział, że za kilka chwil będzie już daleko od tej, którą tak ukochał.

Natknęli się na siebie w samym progu jej izdebki.

— Więc — już?... wiedziałam — i łzy zalały jej bladą twarz.

— Idę — tak trzeba — prawda kochanie?

— Ale powiedz mi, czy dużo pójdzie tych z kawiarni, cukierni i innych lokali rozrywkowych, tych, co nie zaznali nigdy głodu, tych giełdziarzy i paskarzy?...

— Nie wolno nam się oglądać na tych — nam trzeba iść!

— Trzeba iść... Zaśmiało się do mnie szczęście tak wielkie... i już... Nie! nie! Ty mój! Ty mi wrócisz cały szczęśliwie! O Boże! My przecież tak biedni — a tak się miłujemy! Tyś mi cuda prawił, aż jaśniej od nich zrobiło mi się w głowie. Zrodziło się w mem sercu umiłowanie do wszystkiego, co szlachetne, co inne, co czyste.

— Ty płaczesz, a mnie sił trzeba na drogę, na bój!...

Otarła łzy, toczące się po licach.

Zapanowało milczenie. Po chwili wyrwał się jej na usta rozpaczny krzyk serca:

— Jezu! ale ty wrócisz!

— Kochana...

— Pomyśl, co ze mną?...

Trzymał ją w swych ramionach całą skuloną, jak małego, trzepocącego się, biednego ptaka...

Całą jej istotą zatargał dziwny dreszcz...

— Słuchaj: wziąłeś moją duszę, nauczyłeś szlachetnych rozkoszy życia... Nie brałeś nikogo jeszcze w swe ramiona... Weź mnie sobie dzisiaj... niech się stanie!... Chcę być matką twego dziecka!...

Po jej twarzy przeleciał płomień i wszystkie nerwy w jej ciele rozdrgały miłośnie. Spojrzenia jego paliły niczem żar. Pochwycił ją w swe ramiona i, obsypując pocałunkami, złożył ją na jej dziewczęcem łożu i padłszy na kolana, całował jej stopy, szepcząc:

— Jesteś mi wszystkiem, bóstwem mojem — pragnę... ale nie wolno. Biedni jesteśmy i pomyśl, jak biedną byłabyś, gdybym zgi.....

— Nie kończ! — Zerwała się rozpacznie i rzuciła mu się w objęcia ze szlochem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

8-my Walny Zjazd Delegatów
Związku Legjonistów w Warszawie.

Dnia 7 bm. w sali towarzystwa urzędników państwowych (ul. Nowy Świat 67) rozpoczęły się obrady VIII walnego zjazdu delegatów Zw legjonistów. Na zjazd przybyło z górą 200 delegatów ze wszystkich części kraju. Zjazd otworzył krótkim przemówieniem prezes zarządu głównego pułk. Walery Sławek, składając hołd cieniom zmarłych kolegów w roku ub. Następnie na propozycję pułk. Sławka na przewodniczącego zjazdu powołano posła dr Bronisława Wojciechowskiego z Borysławia. Zjazd zaszczycili swoją obecnością ministrowie-legjoniści: premjer dr. Świtalski oraz Boerner, Moraczewski, Prystor, Składkowski i wiceminister pułkownik Pieracki, przywitani przez zebranych gorącą owacją. Silnie wzruszony żywiołową manifestacją całego zjazdu na cześć rządu premjer dr Świtalski przywitał zjazd krótko w te mniej więcej słowa:

„Nie przychodzimy tutaj jako rząd, lecz do dawnych towarzyszy broni tak jak się przychodzi do rodziny. Nie mam zamiaru mówić o programie. Od lat piętnastu zarzucają nam, że nie mamy programu A przecież pracujemy skutecznie i w ciągu lat piętnastu dokonaliśmy rzeczy, które prowadzą do mocarstwowej wielkiej Polski. Zapewniam was koledzy, że wypełniając swą pracę jak przedtem tak i obecnie wykonujemy zawsze rozkaz Komendanta".

Długotrwająca gorąca manifestacja na cześć Marszałka Piłsudskiego i całego rządu była odpowiedzią na słowa premjera.

Następnie rozpoczęły się normalne obrady. Przemówienie dłuższe na temat ideologji Legjonów i aktualnych zadań wobec państwa w związku z walką o zdrowy i silny ustrój wygłosił prezes zarządu głównego pułk. Sławek, poczem przemówił wiceprezes zarządu głównego poseł dr. Polakiewicz, o pracach legjonistów na polu kulturalno-oświatowem. Sprawozdania szczegółowe z prac zarządu głównego i wszystkich okręgów złożyli pp Nowak i Starzak.

Wybrano komisję weryfikacyjną, wnioskową i komisję matkę, które odbyły posiedzenia w godzinach wieczornych.

Zjazd uchwalił szereg depesz hołdowniczych. Depesza do p. Prezydenta Rzeczypospolitej brzmi:

Legjoniści ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej zebrani na swym dorocznym walnym zjeździe delegatów Tobie Najdostojniejszy Panie Prezydencie składają wyrazy czci głębokiej i zapewnienie dalszej wytrwałej służby dla dobra państwa.

Depesza do Marszałka Piłsudskiego: Zebrani na swym dorocznym zjeździe delegatów składamy Ci, Kochany Nasz Komendancie, wyrazy głębokiego hołdu, gorącego oddania, oraz ślubujemy: W tej doniosłej dla narodu chwili rozstrzygającej walki o mocarstwową wielkość ojczyzny i szczęście wszystkich jej obywateli, my legjoniści na każdym odcinku pracy jesteśmy na Twoje rozkazy Komendancie.

Do księdza biskupa Bandurskiego: Naszemu czcigodnemu Duszpasterzowi i Ukochanemu Orędownikowi legjonowej braci a nieugiętemu szermierzowi idei Komendanta w narodzie składamy serdeczne legjonowe cześć.

Do prezesa rady ministrów dr. Świtalskiego: Naszemu towarzyszowi broni, a prezesowi rady ministrów wyrażamy legjonowe cześć i zapewnienie, że z Nim razem pod wodzą Komendanta walczymy nadal nieustępliwie o całkowite zwycięstwo wielkiej idei państwowej Wodza narodu Marszałka Piłsudskiego.

Do generała Śmigłego: Generale Tobie niezłomnie wiernemu żołnierzowi Komendanta składamy wraz z hołdem głębokim nasze gorące żołnierskie pozdrowienie.

Wreszcie wysłano depesze do pp. dr. Bobrowskiego i Klemensiewicza.

DRUGI DZIEŃ OBRAD.

Wczoraj od godz. 9 rano toczyły się w dalszym ciągu obrady zjazdu delegatów legjonistów pod przewodnictwem posła Wojciechowskiego. W dniu wczorajszym przybył na zjazd ob. Sieroszewski, przyjęty przez zjazd owacyjnie i powołany na honorowego przewodniczącego zjazdu

Dyskusja nad sprawozdaniem Zarządu Główn. toczyła się w tonie podniosłym i na wysokim poziomie ideowym. W wyniku jej udzielono absolutorjum zarządowi gł. i dokonano wyborów nowych władz Związku. Na prezesa wybrano ponownie jednogłośnie i z długotrwałą owacją płk. Sławka.

Do zarządu weszli pp. Gliński, dr. Filipek, pos. Hyla, pos. Kamiński, dr. Madeyski, Małski, Nowak, dr. Piestrzyński, dr Polakiewicz, Starzak, inż. Synek, Tomaszkiewicz i Wojciechowski.

Zjazd przyjął przez aklamację m. i. następujące rezolucje:

„Pomni naszych obowiązków wobec państwa i społeczeństwa wynikających z dotychczasowej naszej służby i pracy legjonowej pod wodzą ukochanego Komendanta, a opartej na głębokich podstawach ideowych, zbiorowej moralności i poczucia odpowiedzialności — stwierdzamy:

Gdy prywata i niedołęstwo małych ludzi doprowadziły młode po tylu latach niewoli odzyskane państwo, na kraj przepaści, gdy sumienia najlepszych synów naszego narodu szarpała troska o samą *jego egzystencję* — blask majowego poranka 1926 r., wola Komendanta, krew jego żołnierzy zwiastowały Polsce lepsze jutro. Na naszego Wodza i na nas spadła wówczas odpowiedzialność za losy naszej Ojczyzny. Stwierdzamy, że hasła przełomu majowego, hasła i dążenia obozu legjonowego i obozu walczącego o odzyskanie niepodległości, a jednocześnie być albo nie być Polski — do dziś jeszcze nie zostały zrealizowane.

Pomimo, że wąski odcinek pracy politycznej t. zw. „obozu pomajowego" zidentyfikowano z wielkiemi zadaniami obozu legjonowego, pomimo, że jak do każdego systemu rządzenia, i do nas mogły przylgnąć niektóre jednostki nie stojące na wysokości zadania, pomimo, że nam właśnie taki element jaknajbardziej utrudnia pracę, szarga dla swojej osobistej karjery drogie nam imię Komendanta, burzy jego autorytet, o nas wydaje opinje i w naszym imieniu przemawia, — my żołnierze Legjonów stwierdzamy:

Że nie wyrzekniemy się haseł przewrotu majowego, ani hasła sanacji moralnej, ani hasła uzdrowienia życia i stosunków politycznych w Polsce, opartych na zdrowych zasadach demokratycznych, ani dania państwu silnego rządu.

Będziemy tępić nieprawości i prywatę, gdziekolwiekby się one znajdowały. Pójdziemy w szerokie masy budzić je i budować granit naszej niepodległości, a wraz z umacnianiem mocarstwowej siły państwa należne prawa zdobywać dla Człowieka [illegible]

Zarząd główny wzywamy do dalszego konsolidowania naszego obozu legjonowego w celu:

nowej mobilizacji ideowej, podniesienia poziomu ideowego życia zbiorowego, oraz rozszerzenia płaszczyzny społecznego oparcia dla prac Komendanta

Nie mamy i mieć nie chcemy monopolu pracy dla państwa. O tę pracę dla Polski wołamy, walkę o lepsze jutro dla Polski niezłomnie prowadzić będziemy".

Następnie zjazd witał z radością decyzję rządu w sprawie ustawy o ubezpieczeniach oraz przyjął szereg uchwał w sprawach organizacyjnych i zapewnienia legjonistom odpowiednich uprawnień w życiu społecznem.

Na zakończenie przemówił gorąco płk. Sławek, wskazując na istotne cele Związku w dobie obecnej. Zjazd zakończono owacją na cześć Prezydenta Rzplitej, Marszałka Piłsudskiego i płk. Sławka oraz pieśnią „My Pierwsza Brygada".

JÓZEF KARCZ.

15-lecie artylerji Legjonów.

Dnia 17 i 18 listopada b. r. obchodził w Wilnie uroczystość 15-lecia jeden z pierwszych pułków artylerji Legjonów, obecnie 1 p. a. p Leg. W roku 1914 z rozkazu Marsz. Piłsudskiego zaczął się tenże formować w Borku Fałęckim i Przegorzałach pod Krakowem. Okryty sławą wielkich czynów, nagrodzony „Virtuti Militari" był i jest wzorem pułku oddanego Ojczyźnie.

Dnia 17 o godz. 8.50 witani przez korpus Of. baterji Hon. z orkiestrą, przybyli pociągiem pospiesznym od strony Warszawy liczni z całej Polski byli oficerowie i podoficerowie, a wśród nich generałowie Knoll-Kownacki, Dąb-Biernacki, Płk. Jan Maciej Bold, Wieleżyński, Schally, Durski, Gałązka, Dr Kołątaj Zrzędnicki, kpt. Lazarewicz, Korczak i wielu wielu innych. Po przywitaniu się z obecnym dowódcą pułku płk. Filipkowskim, przybyłych gości odwieziono kilkudziesięcioma autami i autobusami na śniadanie do wzorowo przygotowanych kwater w koszarach pułku. O godz. 10 zbiórka, do której ustawiono się jak w roku 1914, wszyscy razem bez względu na szarże baterjami. Bat. I. i II. t. j. I. Dywizjon prowadził płk. Bold, Bat. III., IV. i V., t. j. II. dywizjon płk. Durski, poczem odmaszerowano do kościoła św. Anny, gdzie o godz. 11 rozpoczęto uroczystości wysłuchaniem Mszy św., celebrowanej przez J. E. Ks. biskupa Bandurskiego, podczas której czcigodny celebrant wygłosił podniosłe okolicznościowe kazanie, zaczynając od słów „dobrze i miło jest, kiedy się brać zejdzie razem".

Po Mszy św. odmaszerowano do ogrodu pobernardyńskiego, gdzie wobec licznie zgromadzonych gości z p. Wojewodą na czele nastąpiło odczytanie listy poległych i rozdanie odznaczeń honorowych pułku. Następnie odczytano nadesłane depesze z okazji uroczystości pułku, między innemi od p. Marszałka Piłsudskiego, poczem odbyła się defilada pułku wobec gen. Krok-Paszkowskiego, którą prowadził płk. Filipkowski.

Po defiladzie w pawilonie Targów Wschodnich podejmowano wszystkich wraz z żołnierzami pełniącymi obecnie służbę w pułku obiadem, w którym wzięli udział między innymi p. Wojewoda i J. E. Ks. Biskup Bandurski. Wśród serdecznego nastroju brać legjonowa czuła się naprawdę miło z braćmi swemi pod jednym dachem, czego dowodem było nader podniosłe przemówienie płk. Filipkowskiego, jednego z żołnierzy tegoż pułku oraz st. og. K. z Krakowa, który nawiązując do pozdrowień od Braci Legjonowej z Związków Legj. z Wieliczki i Krakowa dla 1 p. a. p. Legj. podniósł zasługi ks. patrjoty J. E. Ks. Biskupa Bandurskiego jako wspólnego siewcy ducha nieograniczonej miłości ojczyzny wraz z Marszałkiem Piłsudskim, którego ziarno rzucone w grodzie Podwawelskim w latach niewoli weszło plonem obfitym i dało pierwszym kadrom Legjonu całe zastępy młodych i starszych, biednych i bogatych, gorących wyznawców idei, by pójść w bój święty z hasłem Bóg i Ojczyzna! Podnosząc, że Brać Legjonowa nie powinna rąk opuszczać, ale dalej bacznie strzec i w pokoleniach swoich pielęgnować, ażeby co raz krwią zdobyte, przez waśnie i nieporozumienia nie zostało stracone, lecz wzmocnione i trwało wiecznie. Przemówienie swoje zakończył urywkiem z Kordjana „Wy młodzi nie pióropuszy, nie szlif generalskich, nie orderów złotych" żądajcie, ale miłość i ducha dla ukochanej Ojczyzny krzewcie i wpajajcie w pokolenia wasze. W górę serca żołnierze! bo choć polityki nam jako żołnierzom uprawiać nie wolno i z trybun nawoływać, to jednak za wskazaniem naszego Ukochanego Dziadka Marszałka Józefa Piłsudskiego i J. E. Ks. Biskupa Bandurskiego i wielu wielu innych dobrych synów Ojczyzny iść nam wolno tam, gdzie o dobro naszej Ojczyzny chodzić będzie i walczyć do ostatniej kropli krwi. Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska! Niech żyje nasz Ukochany Dziadek! Niech żyje nasz złotousty nieustraszony kaznodzieja J. E. Ks. Biskup Bandurski! Następnie odśpiewano Pierwszą Brygadę — obiad przeciągnął się do godz. 15-tej.

Wieczorem odbyły się dwa rauty, jeden w salonach kasyna of., wydany przez dowództwo pułku — drugi w kasynie podof., oba połączone z bankietami, na których bawiono się bez cienia zwykłej w takich wypadkach jubileuszowej pompy — prawdziwie po legjonowemu.

Koszary 1 p. a. p. Legj. były bogato przyozdobione i wieczorem tysiącem świateł iluminowane, po ulicach miasta przygrywały orkiestry wojskowe, jednem słowem zdawało się, że całe Wilno mimo mokrego i gęsto padającego śniegu z Legunem się bawi.

W poniedziałek, t. j. 18 o godz. 11 w teatrze Reduta odbyła się uroczysta akademja, którą zagaił dowódca pułku płk. dypl. Filipkowski zaznaczając, że uroczystości dzisiejsze mają na celu nawiązanie tej nici wspomnień między latami walk o niepodległość pod dowództwem Marsz. Piłsudskiego z dniem dzisiejszym. Następnie przemawiał płk. Kiliński, a art. Wyrzykowski odniósł zasłużony sukces, wypowiadając z głębokiem uczuciem dwa wiersze Lechonia, „Szary Komendant" i „Polonez Artyleryjski". P. Zelwerowicz oddeklamował Syrokomli „Przypowieść imć pana Werdysza", a p. Ludwik odśpiewaniem szeregu piosenek legjonowych podniósł jeszcze i tak gorącą temperaturę uczuciową wypełnionej po brzegi sali Reduty. Akademja zakończyła się bardzo pomysłową apoteozą artylerji. Z jednej strony około „pieska" z roku 1914 stanęło trzech legunów artylerzystów jak „cholera", jakby powiedział kapral Szczapa — po drugiej zaś przy dzisiejszej armacie trzech obecnego pułku 1-go kanonierów. W okolu z gałązek efektowny napis 1914—1929.

Po południu odbyły się wspólne obiady w kasynie Of. i Podof., na których odczytano szereg depesz od generałów: Rydza Śmigłego, Sosnkowskiego, Litwinowicza, Rożena, Dobrodzickiego i wygłoszono kilkanaście bardzo serdecznych przemówień w imieniu wszystkich rodzajów broni. W kasynie podof. zgotowano wszystkim obecnym oficerom gorącą owację, zaś gen. Knoll-Kownackiego wśród nieopisanego entuzjazmu po przemówieniu st. ogn. K., który w rzeczowych a serdecznych słowach podniósł zasługi gen. Knoll-Kownackiego nie tylko na polu walki, ale i na polu pracy kulturalno-oświatowej z gromkiem okrzykiem: niech żyje!, zabierającego się do odejścia porwano na ramiona i wśród pieśni Pierwszej Brygady zaniesiono do oczekującego auta.

Wzruszającym momentem był odjazd Braci Legjonowej i gości z dworca wileńskiego. Wieczór o godz. 23.30 zatrzęsły się mury Wilna od 32 strzałów armatnich — zabłysła Ostra Brama od światła niezliczonych pochodni, palonych przez żołnierzy-artylerzystów, załkały serca na odgłos orkiestry grającej Pierwszą Brygadę, a załzawione oczy starych legunów z cichym szeptem „Cześć" na ustach, silną dłonią przypierały do daszka czapek, patrząc na ten sznur oficerów i żołnierzy, wyciągniętych jak struna i żołnierskim „Cześć" żegnających swoich Braci 1 p. a. p. Legjonów.



Artylerja legjonowa na pozycji.

WILHELM PIWOWARCZYK.

Dla Świętej Sprawy.

... w listopadowe święto.

Oto jesteśmy braćmi tych, którzy kurhanem
w bitewnym zgiełku wojny skończyli swe życie
dla Świętej Sprawy! — których dusze krwią różane,
Jak gwiazdy jasne płyną w pustynnym wszechbycie!...
Oto jesteśmy żywi! — Zwycięstwami wielcy! —
Łachmanami zropiałych ran i blizn znaczeni, —
resztka tysięcy trupów — Wolnościowi strzelcy,
których od kolebki świt Wolności promienił ! ! —
Za tą gwiazdą wskrzeszenia, jak królowie światów,
za betlejemską... szliśmy granice wybijać — —
szliśmy w stal bagnetów, w rozjęki granatów,
na śmierć i życie z pieśnią: „Jezus i Maryja!"
Udało się nam Wolność wykuć. — Grób odwalić —
czy też... tak być musiało. — Dziś nam wszystko jedno
Ojczyzna Wolną jest!"! — „Te Deum" odśpiewali
wszyscy i zapomnieli i... wspomnienia rzedną! —
Czasami jeno zagra osmętnicy nuta,
przez nudnego poetę strofami ujęta — — —
lub rzeźbiarz jakiś, ostrze swego wgłębi dłuta
w marmur milczący, by tem uczcić symbol święta...
Czasami znowu rzewną wymyśli paradę
Związek Pogrobowców. I jak na pergaminie
wyłuszczy słuchającym: — ciał żywych zagładę...,
lecz słowo, jak dym mimo uszu wokół spłynie. —
I więcej nic! — Nic więcej. — Ha, boć to najłatwiej,
kolana przed mogiłą trupa raz w rok zginać! —
boć to jest najwygodniej — każdy o tem kat wie —
przed umarłym, współczucia duszy swej zaklinać ! ! !
Ale o tych, co żywi na ojczystej hali...
ale o tych, którzy na strzępy wroga zdarli
i nie skonali —
jeno nogę na trupach wsparli,
krzycząc co sił: „Polska jest!!" — Wszyscy zapomnieli...
Mogą się na smrekowej wymarzyć pościeli,
może ich zgryźć za pracą — Za pracą tęsknota,
mogą się jęczeć, płakać i błagać ośmielić
i mogą zdechnąć, głodem trawieni u płota...
Jak na przydrożny kamień, nikt spojrzeć nie raczy,
i nie chleba, ale nikt nie zechce dać pracy ! ! !

— — — — — — — — — — — — — — — — —

bo niema czulszych w polityce graczy,
jak Bracia moi — moi Kochani Rodacy!!!

Listopad 1929 r.

Walne Zebranie Krak. Koła Stowarzyszenia Rezerwistów i Byłych Wojskowych.

Walne zebranie krakowskiego koła Stowarzyszenia rezerwistów i b. wojskowych, które odbyło się dnia 1 grudnia 1929 r. w lokalu Związku Leg. Pol. na Wawelu, wykazało dobitnie, że placówka ta przestała być martwą i że weszła nareszcie na tory żywotne.

Zebranie zagaił prezes woj. zarządu Prof. Dr. Bujwid, stawiając zebranym przed oczy cele i żądania Stowarzyszenia. Przewodniczącym zebrania został wybrany gen. Hohenauer; do prezydjum weszli dr Łukasik i dyr. Broczyner; sekretarzował kpt Zamarski. Przemówienia powitalne wygłosili: nacz. Błażewicz imieniem p. woj. dr. Kwaśniewskiego i im. prezesa Woj. Zarządu Federacji dra Prostaka, pułk. Kruk-Szuster imieniem 20 p. p., dr. Łukasik imieniem pow. zarządu Federacji, sekretarz prez. Strasik im. prezydenta miasta, dr Zakrocki imieniem Związku Legjonistów, p. Widliński im. Związku Inwalidów Wojennych.

Sprawozdanie z działalności dotychczasowego zarządu wygłosił kpt Zamarski, dając w krótkim zarysie historję powstania Stowarzyszenia. Pierwsze wysiłki w sprawie zawiązania Koła krakowskiego datują się od listopada 1926 r. Do listopada 1928 r. w Stowarzyszeniu pracowali kpt. Zamarski, kpt Lasoń, mjr. Grodyński i p. Jaworski. W listopadzie 1928 r. został wybrany prezesem Prof. dr. Bujwid. W czasie ośmiomiesięcznego pobytu Prof. Bujwida w Brazylji zastępowali go wiceprezesi gen. Hohenauer, p. rej. dr. Stein i mec. dr. Klimecki. Brak lokalu stał przez długi czas na przeszkodzie rozwojowi organizacji. Z chwilą wejścia do lokalu Związku Legjonistów na Wawelu organizacja zaczęła się rozwijać w szybkiem tempie. Obrót kasowy był niewielki. przychody wynosiły: Zł. 632.10.— a rozchody: Zł. 627.31. W końcu kpt. Zamarski imieniem całego Zgromadzenia złożył serdeczne podziękowanie czcigodnemu prez. Prof. Bujwidowi za objęcie stanowiska kierowniczego w organizacji, wyrażając życzenie, ażeby godność prezesa Okręgu zechciał zatrzymać na długie lata.

Zkolei kpt. Lasoń wygłosił obszerny referat organizacyjny.

Nad sprawozdaniem i referatem wywiązała się obszerna dyskusja, w której zabierali głos dyr. Broczyner, Gosiczewski, Jeziorański, Pałka, prof. Bujwid. dr. Zakrocki, Czubała, Nowakowski i w. i.

W ciągu obrad wzniesiono kilkakrotnie żywiołowe okrzyki na cześć Marszałka Piłsudskiego.

Na wniosek Komisji Rew. z p. sędzią dr Bednarowskim i p. M. Bergerem na czele udzielono przez aklamację absolutorjum ustępującemu zarządowi.

Po przerwie, w czasie której wykonano zdjęcie fotograficzne, dokonano wyboru zarządu, który się ukonstytuował w następujący sposób.

I. Zarząd: prezes dyr. Kazimierz Broczyner, wiceprezesi: Jeziorański Jakób i Jachimczak Karol, sekretarz Sekunda Stanisław. Członkowie zarządu: sędzia dr Bednarowski Aleksander, Czubała Jan, Czulak Karol, Mokory August, dr. Zakulski Władysław, zastępcy: Lewicki Aleksander. Marek Emil. Pałka Andrzej, Sobik Stanisław. Wenzel Jan.

II. Komisja Rewizyjna: przewodniczący plk. Oskarbski Kazimierz, członkowie. Berger Maurycy, Małaszewski Leonard, Niepokój Stanisław, dr. Schwarz Zygfryd, zastępcy: Gniadek Jerzy, Grzyb Andrzej, Wilczyński Stanisław.

III Komisja Balotująca: prezes Służewski Jan, em. płk., Dyr. Polaczek-Kornecki Tadeusz, dr. Macko Józef, nacz. wydz. wojew., dr. Jaśkowiec Jan, nacz. wydz. izb. skarb., Gosiczewski Stanisław, Kalisz Franciszek, Łazowski Kazimierz, zastępcy Artyniak Stefan, Cichowlaz Władysław, Czarny Andrzej, Musiał Karol i Pasek Władysław.

Obrady były nacechowane powagą, zapałem i wielką troską o dobro państwa. Zgromadzeni dziękowali Prof. Bujwidowi, kpt. Lasoniowi, kpt. Zamarskiemu, p. Jeziorańskiemu i dyr. Broczynerowi za pracę nad powstaniem organizacji. Nowowybrany zarząd zgromadził się około prof. Bujwida i dyr. Broczynera, całując się na znak zgody i braterstwa w przyszłej swej pracy.

Zgromadzenie zakończono odśpiewaniem „Roty" Konopnickiej.

W ten sposób dzięki zabiegom prof. Bujwida, posła Pochmarskiego, kpt. Zamarskiego p. Jeziorańskiego, dyr. Broczynera, kpt. Lasonia, p. Jachimczaka i w. i. założono w Krakowie podwaliny pod budowę wielkiej rodziny żołnierskiej i wielkiej organizacji, która stać będzie na straży interesów państwa.

Kronika.

Zjazd delegatów Związku Legjonistów województwa krakowskiego. W niedzielę 15 grudnia 1929 r. odbył się w lokalu Związku Legjonistów na Wawelu zjazd delegatów krakowskiego Okręgu Związków Legjonistów pod przewodnictwem Dra Kaplickiego i Dra Radzyńskiego. Z ramienia władz przybyli na zjazd: nacz. Walicki imieniem p. wojewody Dra Kwaśniewskiego, pułk. Kruk-Szuster imieniem wojska, prez. Greger, nacz. Macko, nacz. Dr. Gorzecki, insp. Pilch, prof. Bujwid, Dr. Prostak i posłowie Gwiżdż, Hyla i Dobrzański, oraz przedstawiciele Federacji polskich związków obrońców Ojczyzny.

Imieniem Federacji przemawiał prezes Dr. Prostak, imieniem p. wojewody nacz. Walicki, im. Stow. Rezerwistów prezes dyr. Broczyner, imieniem Strzelca rotmistrz Naimski.

Zjazd otworzył prez. Okręgu pos. Pochmarski, witając serdecznie przybyłych gości. Na wstępie obrad delegaci w podniosłym nastroju złożyli hołd Prezydentowi Rzeczypospolitej i Wodzowi Narodu Marszałkowi Piłsudskiemu. Następnie prez. Okręgu pos. Pochmarski złożył wyczerpujące sprawozdanie z działalności ideowo-propagandowej i społecznej Okręg. Zarządu Zw. Legjonistów.

Sekretarz Okr. L. Strojek przedstawił szczegółowe sprawozdanie organizacyjne, wykazując imponujący rozwój wszystkich 28 oddziałów Zw. Leg. na terenie woj. krakowskiego. Po złożeniu sprawozdań: Bratnia Pomoc — ob. Widliński i Dr. Zakrocki, Dział gospodarczy i kasowy — ob. Ruszkowski, Budowa Domu im. J. Piłsudskiego w Oleandrach — Dr. Radzyński, uchwalono przez aklamację na wniosek przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Dr. Steina podziękowanie i absolutorjum ustępującemu zarządowi.

Wśród burzliwej owacji wyrażono najgorętsze podziękowanie dotychczasowemu prezesowi pos. Pochmarskiemu za jego tyloletnią pracę na stanowisku prezesa Okręgu.

Po udzieleniu absolutorjum ustępującemu zarządowi i wyrażeniu uznania za pracę prezesowi posłowi Pochmarskiemu, sekretarzowi L. Strojkowi i skarbnikowi L. Ruszkowskiemu, dokonano wyboru nowego zarządu. Na wniosek ustępującego prezesa posła Pochmarskiego i komisji matki jednomyślnie wybrany został prezesem okręgu płk. Władysław Belina-Prażmowski. Wiceprezesami wybrani zostali jednomyślnie red. Ludwik Strojek i Dr. Stanisław Klimecki. Do Zarządu nadto weszli: poseł Dobrzański Stanisław, Dr. Jelonek Kazimierz, Dr. Kaplicki Mieczysław, Dr. Łukasik Stanisław, Dr. Orzelski Tadeusz, poseł Pochmarski Bolesław, Ruszkowski Ludwik, płk. rez. Służewski Jan, Widliński Jan. Do Komisji rekizyjnej weszli: Dr. Stanisław Stein (jako przewodniczący), Zygmunt Klemensiewicz, Józef Stańda, Stanisław Wojtyga, Dr. Wroński Stanisław. Do sądu honorowego weszli: Dr. Emil Bobrowski (jako przewodniczący), Angelus Ludwik, Dr. Chan August, Dr. Konicki Ryszard, Dr. Kwieciński Zdzisław.

Wybór pułk. Beliny-Prażmowskiego zebrani przyjęli długotrwałemi oklaskami.

Zjazd powziął między innemi manifestacyjną uchwałę, domagającą się zmiany konstytucji w myśl zamierzeń rządu Marszałka Piłsudskiego.

Zjazd zakończył się manifestacją na cześć p. Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Mościckiego, Marszałka Piłsudskiego, premjera Dra Świtalskiego i prez. Zarządu Głównego pułk Sławka.

Zjazd zgotował gorącą owację Dr. Bobrowskiemu i jego małżonce.

Obrady zakończono odśpiewaniem „My Pierwsza Brygada".

Szczegółowe sprawozdanie podamy w następnym numerze.

Sprostowanie. W poprzednim numerze „Legjonu" na stronie 29 w sprawozdaniu „Z Koła Pań" wkradła się nieścisłość, że JWPani Wojewodzina wygłosiła wiersz przez Nią napisany. Wiersz ten nie został napisany przez JWPanią Wojewodzinę, lecz był drukowany w „Pieśni o Józefie Piłsudskim".

Dostrzeżone omyłki druku. W poprzednim numerze zostały dostrzeżone następujące omyłki druku: str. 11 wiersz 18 od dołu z lewej strony zamiast „słowiańszczyzna" ma być „Ilowiajszczyzna"; str. 21 wiersz 14 od góry z lewej strony zamiast „w Edinburh'u ma być „w Edinburgh'u; str. 21 wiersz 11 od dołu z lewej strony zamiast „Streght" ma być „Strenght".

Z KOŁA PAŃ.

Kierowane przez Prezesową JWPanią Wojewodzinę Drową Zofję Kwaśniewską, Koło Pań, cieszące się sympatją rzesz legjonowych i gości, licznie odwiedzających imprezy Koła, urządziło dwa obchody. W dniu 29-go listopada Uroczysty Obchód Powstania Listopadowego pod kierownictwem P. Drowej Bobrowskiej. Organizację i kierownictwo części muz.-wokal. objęła P. O. Wojciechowska. Mimo pomyłki ze strony jednego dziennika, który w komunikacie przeczytał zamiast piątek 29, sobota 30, sale Związku wypełniły się. Obchód zaszczycił obecnością P. Wojewoda. Słowo wstępne wypowiedział wiceprezes Zarządu Dr. August Chan. Dr. Rudolf Güntner wygłosił starannie opracowany odczyt o „Powstaniu Listopadowem“. Redaktor Ruszkowski recytował wyjątki z „Nocy Listopadowej“, w szczególności podkreślił te ustępy, w których Ostatni Wieszcz przez usta Kory przepowiedział Wolność Polski i wypadki majowe. P. O. Wojciechowska odegrała „Warszawiankę“, pieśń z 1831 r. w układzie na fortepian. Partje solowe odśpiewała P. M. Dołężanka przy akompanjamencie P. S. Bursówny. Miły głos młodej i już pierwszorzędnej artystki w pieśniach: Niewiadomskiego, Lipskiego i Guniewicza wywarł na słuchaczach wielkie wrażenie. Andante z tria fort. Reisigera świetnie wykonali: skrzypce P. M. Faber, wiolonczela W. Siwek, fortepian P. O. Wojciechowska. Uroczystość zakończyło odśpiewanie I. Brygady.

W dniu 16 grudnia br. odbyła się Akademja ku czci śp. Prezydenta Gabrjela Narutowicza, zorganizowana przez P. Drową Bobrowską. W sali odczytowej umieszczono portret tragicznie zmarłego Prezydenta, otulony krepą. Wspomnienie o Pierwszym Prezydencie Rzeczypospolitej, Nieodżałowanej Ofierze brudnego partyjnictwa, wygłosił Poseł Prof. Bolesław Pochmarski. Odpowiednio dobranych utworów świetna deklamacja art. dram. P. Tadeusza Białkowskiego i P. Juljusza Bobrowskiego zakończyła tę żałobną uroczystość.

W dniu 15-go grudnia br. Sekcja gospodarcza Koła Pań urządziła przyjęcie dla Zjazdu Delegatów Okręgu. Przewodnicząca sekcji P. Drowa Zofja Przypkowska, wraz z PP. H. Galińską, M. Nowakówną, J. Singerówną, Drową M. Jelonkową, Inż. M. Kosiorkiewiczową, K. Cholewicką, M. Gawdzikową, J. Michnową, A. Górkową, A. Jauerning w krótkim czasie, dzięki energicznej pracy stworzyły w lokalu Związku na Wawelu klub nie ustępujący w niczem pierwszorzędnym klubom krakowskim.

Ruchliwe i pracowite Koło Pań przygotowywuje na najbliższy czas gwiazdkę i choinkę dla dzieci Legjonistów, oraz „Opłatek“ dla członków Związku. *W. F.*

ODPOWIEDZI ADMINISTRACJI.

P. Malski we Lwowie. Ostatni numer wysłaliśmy. Brakujące numery dodatkowo prześlemy Panu. Prosimy jednak napisać, których Panu brakuje.

Prenumerata: Rocznie: 12 zł., półrocznie: 6 zł., kwartalnie: 3 zł.
Cena pojedynczego numeru 1 zł.
Ceny ogłoszeń: Cała strona: 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 150 zł., 1/8 strony 75 zł., 1/16 strony 40 zł. Ogłoszenia w treści o 50% droższe.

Redakcja i Administracja Kraków, Wawel. Tel. przez centr. wojsk. 3578, lub 3543. Konto P. K. O. 408.940. Redaktor naczelny i odpowiedzialny Dr. Stanisław Łukasik. — Kierownik Administracji: Franciszek Bednarz.

Odbito w Drukarni Przemysłowej w Krakowie, przy ul. Zielonej l. 7, pod kier. Tadeusza Zakulskiego. — Telefon Nr. 510.